CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 7 Marca 1937 R. NR. 10

Zbigniew Domaniewski

Polska między Zachodem i Wschodem

Zauważymy nasamprzód pewne rozgraniczenie między czynnikami polityki międzynarodowej. Po jednej stronie znajdują się *posunięcia dyplomatyczne*. Są to uroczyste oświadczenia mężów stanu, traktaty, konwencje, deklaracje i t. d., motywowane koniecznościami państwowymi, działającymi na krótki okres czasu. Po drugiej stronie znajdują się *dążenia narodowe*, obliczone na dystans wielu pokoleń. Jedne i drugie — posunięcia dyplomatyczne i dążenia narodowe — są to czynniki rozwoju polityki międzynarodowej w istocie swej zasadniczo różne. W niektórych momentach dziejowych mogą nawet działać w kierunkach diametralnie przeciwnych.

Dążenia narodów często są sprzeczne, a prawie zawsze kolidują z sobą w określonych punktach. Dlatego też zadaniem polityki zagranicznej jest nie tylko torowanie drogi dążeniom narodowym, lecz często i równoczesne *pokrywanie sprzeczności uspakajającym płaszczykiem* umów i zobowiązań, zapewnień dyplomatycznych, których, albo wręcz nie ma się zamiaru dotrzymać, albo o których się wie, że upadną we właściwym czasie „z przyczyn od nas niezależnych". Jest więc rzeczą całkiem naturalną, gdy akty dyplomatyczne nakazują narodowi działać *chwilowo* w kierunku, nie odpowiadającym jego naturalnym dążeniom. Dążenia te — energie narodowe — mogą być — jak woda rzek i potoków — prowadzone tym, czy innym kanałem, budowanym przez politykę zagraniczną. Polityka zagraniczna daje się określić jako sztuka kierowania „potokiem" dążeń narodowych. Buduje mu racjonalne, nie zawsze *prosto* prowadzące do celu, łożysko: kompleks aktów dyplomatycznych.

Ten punkt widzenia nie może być zapomniany przy rozważaniu stosunków polsko-niemieckich. Nie może on być zapomniany przy ocenie znaczenia deklaracji o dobrym sąsiedztwie i nieagresji, podpisanej w Berlinie 26 stycznia 1934 na okres dziesięciu lat. W taki również sposób należy oceniać stosunek tego, co mówił o polityce zagranicznej Niemiec „Parteigenosse" Hitler, do tego, co mówi dziś Kanclerz Trzeciej Rzeszy. W „Mein Kampf" Hitler powtarza na przykład swoją główną „Parole" agitacyjną: „my, narodowi socjaliści, z całą świadomością kładziemy kreskę pod kierunkiem polityki zagranicznej czasów przedwojennych. Nawiązujemy do momentu, w którym zatrzymano się sześćset lat temu... *Zwracamy oczy ku ziemi wschodniej*. Zamykamy wreszcie okres polityki handlowej i kolonialnej czasów przedwojennych. Podejmujemy politykę terytorialną przyszłości". Natomiast jako Kanclerz, a nie propagator ideałów N. S. D. A. P., Hitler powiedział ostatnio: „żądanie kolonij będzie się stale i zawsze podnosiło w naszym, tak gęsto zaludnionym kraju, jako żądanie oczywiste". I w ten sposób Hitler powtarza hasło polityki Wilhelma II-go, który psuł stosunki Niemiec z mocarstwami zachodnimi „szukając dla Niemiec swego miejsca w świecie" — w Afryce i w Azji.

Czy stoimy tu wobec sprzeczności? — Nie. Stoimy wobec jednego i tego samego. Tylko, że Parteigenosse Hitler myślał kategoriami, których się używa dla określenia *dążeń narodowych*. Reichskanzler Hitler wyraża natomiast myśli, które musi powiedzieć, aby przebyć najbliższy *etap dyplomatyczny*. Zrealizowanie rewindykacji kolonialnych było by dla Hitlera przebyciem etapu. Było by przebyciem zakrętu drogi, wiodącej via Afryka do celu, leżącego na wschód od Królewca czy Wrocławia: w Rosji czy w Polsce. Rewindykacje kolonialne, tak, jak i pomstowanie na władców Kremlu — to jedno i to samo: sztuczne łożyska, prowadzące potok dążeń narodowych okólnymi drogami. Nie znaczy to jednak, by potok ten zmienił zasadniczy kierunek swego biegu do wyśnionej, wielkiej „Ostraumpolitik".

*

„Drang nach Osten!" Oto alarmujące słowa, które spostrzegamy dziś często na łamach prasy, jako symbol tego, co niepokoi opinię polską. Ale co symbolizują te słowa? — Daleko więcej niż myśli się potocznie. Nie tylko odwieczne dążenie Niemiec na Wschód. Nie tylko prozelityzm germański, który w dziewięćsetnych latach niósł „krzyż wraz z granicznymi słupami państwa niemieckiego" (Potkański), a w latach tysiąc dziewięćsetnych podnosi głos potępienia „wschodniego barbarzyństwa" — bolszewizmu — samemu powracając do tradycji pogaństwa... Drang nach Osten to coś więcej. Przez tysiąc lat wspólny rys, łączący historię trzech narodów: Francuzów, Niemców i Polaków.

E. Romer objaśnia, że „na wielkich obszarach Europy budziła fizjonomia kraju w społeczeństwach i ustrojach państwowych jeden pęd ekspansyjny, znany z historii Niemiec pod godłem: Drang nach Osten! Pęd ten opanowuje w istocie rzeczy całą historię Polski. Nie brak też pewnych jego znamion w historii Francji. Źródło pędu tego leży w charakterze sieci wodnej tych części Europy. Wszystkie

bowiem rzeki tych dziedzin mają w dolnej, niżowej części swego biegu główne dopływy z brzegu prawego, który wskazuje ku Wschodowi. Już bieg Loary wskazuje na związek z dorzeczem Sekwany. Gęsty snop prawobocznych dopływów Sekwany (Aisne i Oise) wytycza ekspansję Francji ku ziemiom belgijskim, tłumaczy rozsiedlenie Walonów. Dorzecze Renu nie posiada ani cienia tej właściwości, zaznaczonej we Francji, a rozwiniętej w Niemczech; tłumaczy to zapewne w znacznej mierze historyczną rolę Renu [1]). Ale dalej ku Wschodowi ma Wezera z prawego brzegu Aller. Łaba ma Szprewę z Havelą, Odra ma Wartę z Notecią. Wisła ma San, wskazujący ku Dniestrowi, Bug wiążący Wisłę z dorzeczem Dniestru za pośrednictwem Prypeci i Narew, wiążący Wisłę z Niemnem, Niemen ma wreszcie Wilję, wiodącą ku Dźwinie. Poza Dźwiną fizyczny ten wskaźnik słabnie, poza Dnieprem niknie bez śladu".

„Z zestawienia powyższego wynika, że fizyczna predestynacja parcia ku Wschodowi osiąga w dorzeczu Wisły szczyt swego rozwoju. To też jeśli symbol Drang nach Osten przyrósł przede wszystkim do historji Niemiec, to przyczyn tego należy szukać nie w powodzeniu poczynań niemieckich w tym przyrodzonym kierunku, lecz w *sposobie* przeprowadzenia tej tendencji. Liczniejsze, niż w którymkolwiek systemie rzecznym Europy, dopływy Wisły od Wschodu wyznaczyły ekspansję Polski ku Wschodowi w nieznanych gdzieindziej rozmiarach... Jakby wyglądała mapa Europy, jakim byłby los narodów, położonych na Wschód od Wisły, gdyby w jej węzłowisku nie zamieszkał był lud, którego instytucje społeczne i państwowe były negacją wszelkiej zaborczości!" [2]).

Synteza ta geopolityczno - historyczna posiada dla dzisiejszego polityka wartość nieocenioną jako punkt wyjścia. Historia polityczno - terytorjalna Polski — historia zmagania się z falą germańską, płynącą z Zachodu na Wschód — da się zrozumieć w pełni jedynie, jeśli badanie jej zaczniemy nad Renem. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że wschodni pęd ekspansji germańskiej istniałby, zagrzewany wymową terenu, niezależnie od tych, czy innych procesów, rozgrywających się na wschód od Renu. Jednakże niewątpliwe jest taksamo, że uderzenia, idące z dolin Loary, Rodanu i Sekwany ku prawemu brzegowi Renu, jako „granicy naturalnej Francji", sumowały się z siłami, które od Wezery i Łaby wskazywały na Wschód. Czy te uderzenia w kierunku Renu były ofensywą, czy kontrofensywą — wszystko jedno; odczuwaliśmy jednakowo ich skutek: wzmożenie naporu germańskiego nad Odrą i Wisłą. Przysłowia: „Les habitants de la France regardent vers la ligne bleue des Vosges" — „Wir reiten nach Osten" oto dowody, że polityka francusko - niemiecko - polska zawiera niejeden moment, wynikający z prawa przenoszenia się sił.

Taka istotnie jest geneza polskiej ekspansji wschodniej: *przejęcie* od Germanów pewnej *ogólnej* tendencji. Z biegiem czasu nasza ekspansja wschodnia stała się — niestety — *ustępowaniem* przed Drangiem germańskim. Ale — jak to podkreśla Romer — inaczej ujawniła się ta tendencja w rozwoju państwa polskiego. Niemiecki pochód na Wschód był *kolonizacją* i *wynaradawianiem*, był zaborczością w pełni znaczenia tego słowa. Zabierali ziemię nie sami tylko statyści. Zabierali oni ziemię wespół z ludźmi, którzy pozostawali na zdobytych polach, wchłaniając ludność miejscową, przetwarzając ją w tyglu mestyzacji fizycznej i duchowej na Neogermanów. Natomiast polski Drang Nach Osten był prawie że wyłącznie dziełem polityków, nie kolonistów. Był w znacznie większej mierze ekspansją polityczną niż kulturalno-językową.

Naprzykład unia z Litwą, choć powiększyła *państwo polskie*, nie powiększyła w takiej samej mierze terytorialnego stanu posiadania *polskości*. Brak dostatecznej ekspansji polskości idącej w ślad za ekspansją państwa na Wschód — oto zasadniczy błąd w zakresie polityki *wewnętrznej*, który popełnialiśmy i do dziś dnia jeszcze popełniamy. Błąd ten odzwierciadla się w statystyce językowej Polski. Na kresach zachodnich język polski jest językiem ojczystym dla 90,9% ludności, a na kresach wschodnich tylko dla 32,9%.

Jeżeli wyobrazimy sobie *obszar państwowy polski*, jako leżący na mapie rozmieszczenia ludów, to zauważymy rzecz doprawdy przerażającą: obszar ten miał za Chrobrego około 400.000 km. kw. i dziś tyleż posiada, natomiast *wygnany został*, przesunięty z dziedzin *swojego* ludu na Wschód! Za Kazimierza Wielkiego Polska odstąpiła Śląsk (1335) i Pomorze (1343), kompensując straty te Rusią Czerwoną, częścią Wołynia i Polesia (1366). Potem torowaliśmy sobie *nową, zastępczą* drogę do morza przez shołdowane hospodarstwa mołdawsko-wołoskie. W ten sposób jako motyw przewodni przewija się przez całą historię Polski ruch *obu* granic w *jednym kierunku* na Wschód: zachodniej od chrobrowej linji Odry i górnej Łaby do linii z roku 1920—22, a wschodniej od linii Bugu do linji z roku 1921. Ciekawe i smutne zarazem, że najdokładniejsze, jakie było, sharmonizowanie terytoriów narodu i państwa spotykamy w zaraniu historii naszej: Polska Chrobrego. Polska w pełni zdrowia — wielka i narodowa, nie narodowościowa.

Historia terytorialna Polski na linji Zachód - Wschód wyraża się w procesie następującym: topnienie tego, co polskie — na Zachodzie — a kompensowanie strat tym, co nie było polskie — na Wschodzie. Proces, który jest wycofywaniem się *państwa* z jego ziemi i z jego ludu; proces przekształcania się państwa narodowego w narodowościowe.

*

Wszystkie narody świata, które się dziś odradzają i rosną w potęgę, wywodzą swój ruch odrodzeniowy z faktów pozytywnych swej historii. Nasz punkt wyjścia niechaj więc również będzie historyczny, sięgający lat pełnego zdrowia polskiej polityki zagranicznej. Nasz punkt wyjścia musi być i geograficznie sprecyzowany. Nie jest obojętne, z *jakiego* miejsca Polski zaczniemy zataczać widnokrąg koncepcji polityczno-terytorialnej.

Zauważymy przede wszystkim fundamentalny fakt *pozytywny* historii polskiej polityki zagranicznej. Nasza ekspansja wschodnia, faworyzowana i po części wywoływana przez warunki naturalne terytorium, zaczęła się jako *następstwo pozycji zwycięskiej na Zachodzie*. Zanim Bolesław Chrobry poszedł na Kijów, zjednoczył plemiona zachodnio - słowiańskie, zabezpieczając je przed podbojem germańskim. I następcy jego, choć dalej parli na Wschód, nie ustępowali na Zachodzie. Jeśli po śmierci Chrobrego Polska dokonała w latach 1069 i 1077 ponownych wypraw na Kijów — to była również zwycięzcą na Zachodzie; w roku 1120 rozszerzyła naprzykład panowanie swe na Pomorze Zaodrzańskie. To były w historii Polski niedługie czasy *zdrowej* polityki zagranicznej.

Żyjemy dziś w warunkach, stworzonych w Polsce przez przeważające w biegu jej historii *jednostronne* ciśnienie ekspansyjne, ciśnienie skierowane na Wschód. Tradycji tej należy się przeciwstawić. Powinniśmy chronić się przed wszystkimi tymi kompleksami myślowymi i wyobrażeniowymi, które zwracają naszą myśl polityczną *wyłącznie* na Wschód. Powinniśmy więc wybrać sobie taki punkt Polski, takie miejsce, z którego zataczać będziemy widnokrąg koncepcji terytorialno - politycznej, w którym wszystko, a szczególnie warunki naturalne, sugerowałoby kierunek ciśnienia politycznego zachodni. Miejscem takim jest kolebka państwowości polskiej, średnia Warta. Znajdujemy się tu na wschodniej peryferii dorzecza Odry. Kierunek dorzecza prowadzi stąd na Zachód, do zachodniego brzegu Odry, brzegu lewego, posiadającego małe dorzecza. Tutaj, u lewego brzegu Odry, znajdował swą naturalną granicę polski pęd państwowy na Zachód, tak, jak francuski pęd na Wschód dążył zawsze jako do granicy naturalnej do prawego brzegu Renu. Zwracając oczy z nad Warty na Wschód, nie ulegamy już tak bezpośrednio sugestii dorzecza Wisły, w którym, jak mówi Romer, „fizyczna predestynacja parcia ku Wschodowi osiąga szczyt swego rozwoju". Kierunek wschodni, widziany z nad Warty, nie wydaje się nam *naturalnym* kierunkiem ekspansji państwowej. Zachodzi tu pożądana *równowaga* między predystynacją fizyczną wschodnią i zachodnią.

---

[1]) Ren — pożądana przez Francuzów wschodnia *granica*; dla Niemców — podnieta do parcia na Zachód, w górę dopływów zachodniego brzegu.

[2]) E. Romer. „Polska — Ziemia i Państwo". Kraków 1917.

Zacznijmy teraz konstatować fakty polityczne, patrząc z nad średniej Warty. W kierunku wschodnim rzuca się nam w oczy stopniowe słabnięcie polskości. W województwach zachodnich 90,9% ludności mówi językiem polskim, jako ojczystym. W województwach centralnych już nieco mniej: 82,9%, we wschodnich tylko 32,9%. Jeśli w drodze na Wschód przekroczymy granicę Polski, to znajdziemy się w państwie, które dzisiaj rozwija się wewnętrznie i zewnętrznie w kierunku wschodnim. Ewolucja ta nie przysparza nam więc szczególnego ciśnienia na granicę. Główna forma niebezpieczeństwa, jakie grozi nam ze Wschodu — bolszewizm — ujawnia się i daje się zwalczyć jedynie na płaszczyźnie polityki wewnętrznej. Tak więc to, co widzimy w kierunku wschodnim, stawia przed nami zadania *wewnętrzne*. Inaczej jest, gdy spoglądamy na Zachód, Południe i Północny Wschód. Tu polskość nie maleje w miarę, jak zbliżamy się do granicy. Naodwrot to, co Nitsch określa jako „narzecze centralne", najbardziej zbliżone do języka literackiego, zajmuje właśnie obszar nadgraniczny. Na naszym zachodzie nie potrzebujemy rozwijać, musimy *bronić* polskości przed wrogiem zewnętrznym. Blisko za granicą zachodnią polskość szybko ginie, symbolizując metody państwowe naszego zachodniego sąsiada. Tu mamy do ocalenia resztki minionej polskiej świetności. Równocześnie stwierdzamy tutaj, za granicą zachodnią, że wewnętrzna i zewnętrzna ewolucja naszego sąsiada nie odbywa się w kierunku *od*, tylko *do* naszej granicy. Jeżeli Sowiety absorbowane są na Dalekim Wschodzie przez Japonię, to nad zachodnią granicą Niemiec żyją Francuzi, zaspokojeni terytorialnie i pragnący pokoju. Wyrosły tam nadto fortyfikacje nie do zwalczenia. Na granicy Niemiec i Francji rosną, jakby drugie Pireneje, które mogą stać się takim samym czynnikiem *ustania* ekspansji państwowej, jak góry na granicy francusko-hiszpańskiej. Dla tego też ewolucja zewnętrzna naszego sąsiada zachodniego kieruje się dziś i będzie nadal kierować się na Wschód, wywołując groźne ciśnienie na naszą granicę.

Istnienie deklaracji polsko - niemieckiej o nieagresji temu nie przeczy. Polityka nie jest taka prosta, jak dążenia narodowe. Hitler od pierwszych chwil formowania swej koncepcji politycznej zagranicznej stanął na stanowisku nielekceważenia Polski. Zrozumiał, że Polska weszła w okres ewolucji, że będzie rosła szybko na sile. Wyczuł tak samo, iż w okresie, w którym Polska ma naprawiać błędy przeszłości, musi się ona zwrócić w tę stronę, w której dotychczas ustępowała: na Zachód. Kiedy doszedł do władzy, stanął w dziedzinie polityki zagranicznej wobec dwóch faktów: 1) sojuszu polsko - francuskiego, powiększającego siłę mocarstwową Polski, 2) zarania tendencji ewolucyjnej państwa polskiego, skierowanej ku Zachodowi. Jedno i drugie Hitler rozumiał jako możliwą kiedyś ofensywę antyniemiecką. Nadrenia była zdemilitaryzowana. Cały brzeg Renu — naturalna granica Francji w myśl hasła Wielkiej Rewolucji — mógł być znów zajęty przez wroga. Toż samo było z doliną Odry, ziemią pra-słowiańską. Tę sytuację Hitler musiał zmienić.

Na dokonanie w tym okresie orężnej kontr - ofenzywy był za słaby. Nie miał innego wyjścia, jak unicestwić front antyniemiecki przez hasła pacyfizmu. Zaczął od Wschodu. Podpisał z Polską deklarację o dobrym sąsiedztwie i nieagresji. Cel jej był dla Hitlera potrójny. Przede wszystkim chodziło o zerwanie nici, łączących Polskę z Francją. Jeśli chodzi o Polskę, to deklaracja polsko - niemiecka nigdy nie była pojmowana jako odwrócenie się bokiem do Francji. Jednak Niemcy starali się za wszelką cenę nadać taki właśnie charakter nowemu zwrotowi polityki zagranicznej Polski. Propaganda niemiecka usilnie w tym kierunku pracowała. Rezultaty we Francji nie dały na siebie długo czekać. Posądzono nas o „zdradę", imputowano nam „służenie celom pangermańskim" ku własnej zgubie. Krótko mówiąc jeden z celów, jakie Hitler stawiał sobie, podpisując deklarację o stosunkach dobrego sąsiedztwa i nieagresji, został po części osiągnięty: częściowe zniechęcenie opinii francuskiej dla Polski jako sojuszniczki. Dopiero wydarzenia ostatniego roku odwróciły znowu bieg wypadków na tym odcinku. Drugim celem, jaki Hitler miał na myśli, była nadzieja, że rząd polski, pacyfikując w Polsce kampanję prasową antyniemiecką, nie wyczuje różnicy, jaka istnieje między opinją ściśle polityczną, a odczuciem politycznym narodu. Jednym słowem Hitler się spodziewał, że rząd polski odwróci uwagę społeczeństwa od Zachodu, sterylizując w ten sposób naszą gotowość psychiczną do kontr-ofenzywy.

Hitlerowi zależało jednak nie tylko na oddaleniu nas od Francji. Zależało mu nie tylko na uśpieniu polskiego instynktu kontr-ofenzywy skierowanej na Zachód. Chodziło mu przede wszystkim o *odwrócenie* naszej inicjatywy zagraniczno - politycznej. Stąd też od dnia 26 stycznia 1934 po dziś dzień bez przerwy czytamy w „zglajchszaltowanej" prasie niemieckiej, że Polsce grozi tylko jedno niebezpieczeństwo zewnętrzne: ze strony Rosji. Dowiadujemy się również, że jedna tylko jest racjonalna droga ekspansji polskiej: droga, wiodąca na Ukrainę. Strategia Hitlera jest prosta. Nie rezygnuje on z rewizji swych „krwawiących" granic wschodnich. Chce je zrewidować — t. zn. przesunąć na Wschód — pokojowo. Wzamian za to pomógłby Polsce pozyskać dostęp do morza i ziemię na południowym wschodzie Europy. Ziemię może nawet bardziej urodzajną, może nawet zawierającą więcej węgla niż na Śląsku! Ale gdyby Polska poszła tą drogą, państwowość polska odstąpiłaby jeszcze o krok z terytorium *swojego* ludu, aby wejść jako intruz do ludu *cudzego*. Oddałaby swą odwieczną ziemię, do której ma prawo niezaprzeczalne, a zyskiwałaby wzamian ziemię *cudzą*, przez inny lud zamieszkaną, przez inny lud ukochaną. W ten sposób proces depolonizacji obszaru państwowego, wędrującego na Wschód, postępowałby naprzód. Polska stawałaby się coraz to mniej polską, wewnętrznie coraz to słabszą. Dojrzewałaby do roli przedmiotu niemieckiej polityki federacyjnej, owej „Ostraumpolitik".

Deklaracja polsko - niemiecka o dobrych stosunkach sąsiedzkich i nieagresji nie powinna nas wprowadzić w błąd co do istotnego „frontu ewolucyjnego" Niemiec, obejmującego całość dążeń narodowych. Niemieckie dążenia narodowe znamy: Drang nach Osten! Ofenzywa na Wschód. Są ludzie, którzy chcą nas przekonać, że Niemcy myślą dziś tylko o krajach bałtyckich i o Rosji. Ale więcej przekonywujące jest oświadczenie Hitlera w „Mein Kampf", że nawiąże do momentu, w którym zatrzymano się sześćset lat temu. W roku 1308 Krzyżacy zajęli Gdańsk. W roku 1936 opanowali Gdańsk hitlerowcy, też z czarnym krzyżem jako emblematem. Rezultatem wizyty krzyżaków nad Bałtykiem były lata 1772, 1793 i 1795. Jakiego rezultatu możemy oczekiwać, gdybyśmy pozwolili na stałe utrwalanie się swastyki nad Bałtykiem? — Niemiecki Drang nad Osten to zawsze będzie Drang nad Posen, Drang nach Warschau. Na odcinku polsko- niemieckim trwa obecnie tylko zawieszenie broni. Mężowie stanu skierowali potok energii ewolucyjnych obu narodów, które płyną z natury rzeczy przeciwko sobie, w sztuczne łożysko równoległe. Oczywiście tętno dążeń narodowych nie przestało tym samym bić ani po jednej, ani po drugiej stronie granicy.

Na Zachodzie bije tętno ofenzywy. Jedyną skuteczną obroną przeciw ofenzywie jest kontrofenzywa. Niemiecki „front ewolucyjny" wyraża się dziś w formule: „nigdy nie uznamy naszych granic wschodnich, ale do ich zmiany — przesunięcia na Wschód — będziemy dążyć drogą pokojową". Otóż polski „front ewolucyjny" powinien się wyrazić w formule analogicznej: „nie uznajemy sprawiedliwości naszej granicy zachodniej, ale dążyć chcemy do jej zmiany — przesunięcia na Zachód — drogą pokojową". Jeżeli w październikowym zeszycie „Die Jugendschaft" czytamy np.: „na podstawie dyktatu wersalskiego oderwała Polska od Rzeszy prowincję Poznańską, Pomorze i wschodnią część Górnego Śląska... Pewnego dnia jednak historia naprawi to, co obłąkani ludzie zdziałali" — to odpowiedź polska powinna brzmieć w myśl prawa kontrofenzywy: „siłą przemocy Germanie oderwali od Polski dolinę Odry i Pomorze. Historia powinna naprawić to, co spowodowało słabość Polski przedrozbiorowej, powinna urzeczywistnić powrót narodu do jego stron rodzinnych".

Jeżeli dla czyjegoś ucha formuły te brzmią nazbyt ostro, niech pamięta, że ostrość ta jest czymś więcej, aniżeli tylko wyrazem naszej chęci. Jest ona wyrazem reakcji. Jest wyrazem *konieczności* niedopuszczenia do *moralnego rozbrojenia* na wschód od granicy polsko - niemieckiej *wtedy*, kiedy na zachód od niej bez przerwy kuje się broń moralną i żelazną.

J. W-ski

Państwo społeczne *)

Nakładem „Biblioteki Drogi" ukazała się niedawno książka pociągająca i aktualna, żywo i interesująco napisana. Jest nią „Państwo społeczne" Wacława Makowskiego. Moment, który zapewnia książce z miejsca wielką poczytność, stanowi poza wymienionymi zaletami fakt, że autor jest jednym z twórców nowej Konstytucji. Otrzymaliśmy więc obraz ideologicznych przesłanek twórczych obowiązującej Konstytucji dla ciasnego wprawdzie, niemniej doniosłego wycinka dziesięciu pierwszych artykułów, zwanych „dekalogiem" albo też „polską deklaracją konstytucyjną", — obraz, pochodzący od osoby kompetentnej.

Po przez stronice „Państwa społecznego" przewija się jak nić teza, że zasadnicze przeciwstawienie pojęcia państwa i pojęcia społeczeństwa, które wystąpiło ostro na gruncie państwa liberalnego, znika w nowych poglądach i posunięciach praktycznych z dziedziny ustrojowo - politycznej. Poglądy uczonych ostatniej doby nauki o państwie wykazują dziwną zbieżność w formułowaniu tego, co uważa się za podstawowy ideał nowoczesnego państwa. Obojętne jest bowiem, zdaniem autora, czy ideał ten określa się — jak Petrażycki — jako *„praktykę miłości w życiu społecznym"*, czy — jak Stammler — jako *„ideę harmonijnego współżycia"*, czy też — jak Duguit — jako *solidarność społeczną"*, wszystko jedno, czy konstruuje się dla niego pojęcie *„zespolenia w czynie"* (Hauriou), czy też pojęcie *„integracji społecznej państwa" (Le Fur)*. W rzeczywistości zachodzi tu tylko gra słów na tle zamglonych odczuć przyszłego porządku. Wszystkie te sformułowania sprowadzają się do jednego założenia, które autor nazywa założeniem solidarności społecznej.

Eksperymenty ustrojowe, dokonywane na przestrzeni ostatnich lat w szeregu państw, wykazują liczne podobieństwa z poglądami nowoczesnej nauki prawa politycznego. Mniejsza wyrazistość ogólnego kierunku reform wynika z charakteru pracy technika ustawodawczego. Autor czyni tu plastyczne porównanie z działaniem artylerii, która, wstrzeliwując się w cel, *„trafia albo za daleko, albo za blisko"*. Przejawów chybienia istoty rzeczy dopatruje się zarówno w koncepcjach państwa totalnego, jakoteż w pomyśle państwa czystej reprezentacji interesów. Makowski widzi w nich *„skrajności, przeceniające człowieka, albo niedoceniające człowieka"* — błędy, *„których nauka prawa publicznego, bogata doświadczeniem i przenikliwością myśli, może uniknąć."*

W istotę dokonywujących się przemian trafia — zdaniem autora — polska deklaracja konstytucyjna, która jest *„deklaracją solidarności społecznej"*, deklaracją *„zasad, na których opiera się państwo solidarności społecznej"*. Potwierdzają to w szczególności artykuły 4 i 9 nowej Konstytucji:

„W ramach państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa.

Państwo zapewnia mu swobodny rozwój a gdy tego dobro powszechne wymaga, nadaje mu kierunek lub normuje jego warunki."

„Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnym współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego".

Według autora w tych właśnie kilku tezach tkwi podstawowe założenie nowej państwowości polskiej. W obliczu ich znika definitywnie dawne przeciwstawienie pojęciowe państwa i społeczeństwa — państwo staje się *państwem społecznym*. Jest ono jednak pozbawione przesadnego kultu zbiorowości. Wszak w myśl art. 5 Konstytucji *„twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego"*. W poszukiwaniu za kryterium zróżnicowania społeczeństwa znalazła je Konstytucja w wartości *„wysiłku i zasług obywatela"*. Autor uzasadnia to uwagą, że *„im większa jest wartość pracy włożonej przez obywatela w życie zbiorowe, tym znaczniejsza jest jego rola w społeczności, do której należy"*.

Taki jest tok myśli Wacława Makowskiego w tej ciekawej książce. Pełno w niej wiary i optymizmu, właściwych dla podejścia twórcy do własnego dzieła. Wiara i optymizm wyraziły się w mocnym przekonaniu autora, że myśl ustrojowa polskiej deklaracji konstytucyjnej oparła się na prostych i niezłomnych prawdach, które przyniosło ze sobą życie polityczne ostatnich czasów. Ramy są mocne i pewne. wypada tylko wypełnić je żywą treścią. *„Wypełniamy treścią życia społecznego* — woła tedy autor — *ramy organizacji państwowej. Przypomnijmy sobie, jak to było, kiedy nie mieliśmy jeszcze własnego państwa, kiedy od państwa nic nie otrzymywaliśmy, spróbujmy wykazać tyle inwencji, inicjatywy, umiejętności i zapału społecznego, ile mieliśmy wówczas. Ten zasób, ujawniony we własnym państwie, stworzy dzieło wielkie i godne podziwu."*

*

Stwierdzona przez autora ewolucja ku państwu społecznemu jest jedną z najbardziej uchwytnych rzeczy w ogólnej masie doświadczeń ustrojowych ostatnich czasów. W próbach bliższego określenia założeń ideowych tego państwa przewija się coraz częściej termin „solidaryzm". Autor „Państwa społecznego" nie używa go w swojej książce ani razu, posługuje się raczej pojęciem „solidarności społecznej". Niemniej okoliczności i zestawienie, w jakich występuje u niego to pojęcie, nie pozwalają mieć wątpliwości co do tego, że wychodzi on właśnie z solidarystycznego punktu widzenia.

Nasuwa się pierwsze zastrzeżenie. Czy podkładanie pod dekalog konstytucji polskiej koncepcji solidarystycznej jest słuszne i szczęśliwe?

Mówiąc o solidaryźmie, ma się do dziś zawsze na uwadze przede wszystkim pewną doktrynę o przewadze pierwiastków ekonomicznych. Ekonomiści w osobach Bouglé, Gide'a i innych stworzyli właściwie pełny zarys koncepcji solidaryzmu. I chociaż między twórcami doktryn politycznych nie brak było zwolenników solidarności społecznej, jako zasady ustrojowo - politycznej (Duguit, Bourgeois), nie zmienia to w niczym istoty rzeczy. Centralne założenie solidaryzmu tkwi w zaprzeczeniu walki klas i przeświadczeniu, że nie ma zasadniczych rozbieżności między interesami grup spoełcznych.

Czytając „Państwo społeczne", nie można się niejednokrotnie oprzeć wrażeniu, że autor, obrazując postępy idei solidarności społecznej, ma na myśli nie tyle solidaryzm, ile raczej postęp w cementowaniu opinii publicznej dookoła tego, co zwykło się zwać racją stanu państwa. Nie ulega wątpliwości, że postępy w tak rozumianym poczuciu solidarności są w Polsce duże. Wystarczy przypomnieć dziedzinę obronności i polityki zagranicznej, działy właściwych działań obronnych grupy społecznej — państwowej. Ale to nie ma nic wspólnego z solidaryzmem, jako takim. Przeciwnie, w odczuciu szerokich mas istnieje do dziś silnie ugruntowana świadomość przeciwstawności interesów klasowych.

Jest rzeczą rozumną dążenie w państwie do takiego stanu rzeczy, by interesy poszczególnych grup społecznych nie stały w rażącej sprzeczności ze sobą. Realizacja tego dążenia zależy jednak od charakteru i głębokości przemian, które nastąpią w ustroju społeczno - gospodarczym Polski. Wymyka się to w oczywisty sposób z pod możliwości uregulowania w drodze konstytucyjnej.

Nie wydaje się więc rzeczą szczęśliwą, jeżeli przy obecnym stanie spraw, przy istniejącym w świadomości publicznej przeciwstawieniu interesów klas nie na tle przesądów, ale rzeczywistości, popularyzuje się polską deklarację konstytucyjną pod hasłem solidaryzmu.

Przyjmowanie postawy oceniającej z punktu widzenia tego, co jest szczęśliwe lub nieszczęśliwe, politycznie wskazane lub niewskazane, może się tu wydawać dziwne. A jednak jest ono najzupełniej uprawnione. Wszak na dekalog Konstytucji złożyły się tezy bardzo różnego pochodzenia ideowego i bardzo różnego znaczenia. Obok podkreślania interesu zbiorowości znajdujemy w nim ukłon w stronę człowieka-jednostki, obok zasady autorytetu zasadę samorządności, obok szerokiej płaszczyzny obywatelskiej elitaryzm. Niepodobna tedy w wspomnianych tezach dekalogu dopatrywać się czegokolwiek innego, jak konturów myślowych, które dopiero wypełnić ma treść życia.

Podobnie, jak z solidaryzmem, ma się też sprawa popularyzowania dekalogu z punktu widzenia zasady elitaryzmu. Dekalog przyjmuje bezwątpienia zasadę różniczkowania społeczeństwa w drodze selekcji elitarnej. Stawia ją jednak bardzo ogólnikowo. *„Wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne"* — oto jedyna wskazówka Konstytucji. Przy ciasnej interpretacji przytoczonej wskazówki, bez wniknięcia w istotę złożonych problemów elity, łatwo w praktyce popaść w koncepcję elity martwej, zamkniętej w sobie, oddzielającej się systematycznie od ogółu chińskim murem, wykazującej tendencje kastowe. Doświadczenie pierwszych wyborów, odbytych w oparciu o nowe ordynacje wyborcze, odsłoniło nie jedno niebez-

---

*) Prof. Wacław Makowski, „Państwo Społeczne". Nakładem „Biblioteki Drogi", Warszawa 1936 r.

pieczeństwo ciasnego i mechanicznego pojmowania elitaryzmu.

Jest rzeczą potrzebną różnicowanie społeczeństwa, ale różnicowanie prowadzić powinno do selekcji elity żywej, odświeżanej stale normalnym zastrzykiem nowych sił.

Nowa Konstytucja przyjęła się w opinii społecznej szybko i bez oporów w tej części, która ustala organizację władz, zasadę autorytetu Głowy Państwa, podział ról organów państwowych, słowem — w tej części, która stanowi właściwy statut organizacyjny Państwa. Inaczej jest z natury rzeczy z tymi kilkoma artykułami dekalogu, które, nie stwarzając normy organizacyjnej, stwierdzają pewne zasady ideologiczne. Muszą one przebojem poprzez życie zdobywać sobie aprobatę rzeszy obywatelskiej. Wszelki przedwczesny optymizm byłby tu szkodliwy. Nie ulega też wątpliwości, że i życie wpłynie na nie kształtująco, nada im swój wyraz. Wspomniane założenie ideologiczne dekalogu są czystymi formularzami, których rubryki wypełnić ma żywą treścią życie.

A. Z.

O jednolite prawo polskie

Rada Ministrów uchwaliła projekt ustawy o zmianie granic województw poznańskiego, pomorskiego, łódzkiego i warszawskiego.

Uwzględniając ważki z punktu widzenia gospodarczego czynnik naturalnego ciążenia poszczególnych ośrodków ku sobie, projekt czyni zarazem zadość dawno narzucającej się konieczności politycznej zreorganizowania opierającego się dotychczas ściśle na kryteriach zaborców podziału administracyjnego Państwa.

Znikną odtąd raz na zawsze, podrastającemu pokoleniu z historii już tylko znane, ślady niewoli; owe linie sztucznego podziału, rozgraniczające twory w rodzaju „regencji" z jednej, „gubernii" z drugiej strony.

Przekroczy województwo poznańskie „granicę" b. Kongresówki, obejmie o miedzę leżący Kalisz, Koło, Konin, Turek, Toruń patronować zacznie od południa Włocławkowi, Aleksandrowowi Kujawskiemu, Lipnu i Brześciowi Kujawskiemu, od północnego zachodu—Bydgoszczy i Inowrocławowi. Przyhołubione przez województwo warszawskie mazurskie Działdowo do mazowieckiej znów przylgnie macierzy i t. p.

Czy jednak, trudno się oprzeć cisnącemu się na usta pytaniu: za tą naturalną dyfuzją terytorialną, pójdzie w ślad również i dyfuzja, ściślej zjednoczenie prawa?

Jak w ramach nowych granic wojewódzkich ułoży się współżycie norm obowiązujących na obszarze przyłączonym z normami obowiązującymi na obszarze, do którego przyłączenie nastąpiło?

Bo nie można wszak z oczu tracić faktu, że z urzeczywistnieniem projektu, w skład wymienionych w nim województw (prócz łódzkiego), wejdą powiaty z których każdy, niby prawem rzeczowym, obciążony jest dziedzictwem norm odrębnych, że ogólną tedy harmonię współżycia zmąci dysharmonia pokutujących dotychczas nieszczęśnie ustawodawstw zaborczych, że w granicach jednego i tego samego okręgu administracyjnego spotkają się z sobą oko w oko tak żywiołowe przeciwieństwa jak np. poniemieckie prawo cywilne i jego na wskroś zsekularyzowane instytucje małżeństwa i rejestracji stanu cywilnego z *par excellence* wyznaniowym charakterem tych instytucji, jakie wniosą z sobą obszary mocy obowiązującej K. C. P. z 1825 r. i prawa o małżeństwie z 1836 r.

Usunięcie w ramach nowego podziału administracyjnego Państwa grożących na każdym kroku nieuchronnie kolizji norm, już nie międzydzielnicowych, ale międzypowiatowych i międzygminnych, w trojakiej tylko osiągnąć dałoby się drodze:

1) przez rozciągnięcie ustawodawstwa obszaru, do którego przyłączenie nastąpiło, na obszar przyłączony.

2) przez rozciągnięcie ustawodawstwa obszaru przyłączonego na obszar, do którego przyłączenie nastąpiło.

3) *przez uchylenie jednego i drugiego z omawianych ustawodawstw i zastąpienie ich jednolitym prawem polskim.*

Możliwości objęte pkt. 1 i 2 postawić należy poza nawias jakichkolwiek wogóle rozważań, jako że, pomijając już względy innej natury, byłyby one zaprzeczeniem podstawowych założeń omawianej reformy. Bo jakżeż? Zacieranie zewnętrznych śladów niewoli z jednej strony, przez utrwalanie i rozszerzanie najistotniejszych znamion tej niewoli ze strony drugiej?

Pozostaje wyjście trzecie:

Jedno na całą Rzeczpospolitą prawo polskie!

Ono jedynie sprawić może, że przygotowywana reforma podziału administracyjnego stanie się dla ziem nią objętych nie tylko zmianą gospodarczą (dla jednych), powierzchownym przestawieniem dekoracyj (dla drugich), ale *istotną więzią moralną, zespalającą organicznie w jedną bryłę wszystkie, uderzmy się w piersi, rozproszkowane podotąd oligarchią obcych praw, „dzielnice" polskie.*

Wśród ogółu dodatnich cech projektu, to unaocznienie jaskrawymi przykładami życia panującego stanu rozproszkowania prawnego, a co za tym idzie, unaocznienie niepodobieństwa dłuższego utrzymania tego stanu, stanowi niewątpliwie cechę najdodatniejszą.

Niezłomne żywić też należy przekonanie, że ustawodawca, ujmując projekt, jako wstęp i zapowiedź zasadniczych reform kodyfikacyjno - unifikacyjnych, z urzeczywistnieniem reform tych zwlekać już dłużej nie będzie!

DO CZYTELNIKÓW — PRZYJACIÓŁ!

Dwa są przede wszystkim sposoby okazywania pismu szczerej przyjaźni i życzliwości:

1. regularne wnoszenie prenumeraty,

2. współdziałanie w zwiększeniu stałego zasięgu jego wpływu i poczytności.

Jeżeli jesteś przyjacielem pisma, pamiętaj o terminowej opłacie prenumeraty oraz staraj się o zjednanie mu nowych prenumeratorów.

Karol Gostyński

Mniejszość niemiecka w r. 1937

Ostatnie tygodnie ubiegłego roku przyniosły znaczne nasilenie życia politycznego mniejszości niemieckiej. Strumień publicznych zgromadzeń Jungdeutsche Partei i Deutsche Vereinigung rozlał się szeroką falą, zwłaszcza w Poznańskim, utrzymując ciągły stan podniecenia w grupie niemieckiej.

Pomijając omówienie wzajemnych, a w dalszym ciągu wrogich, stosunków pomiędzy „młodymi" a „starymi", podnieść trzeba na wstępie, że główny ton minionemu okresowi nadawała planowa hałaśliwa działalność zebraniowa JDP. Koła kierownicze tej partii głosiły przy tym donośnie i powszechnie, że partia, podejmując tę działalność, występowała imieniem całej niemczyzny w Polsce, jako jedynie powołana i właściwa jej przedstawicielka. O ile jednak aspiracje partii do tego stanowiska nie spotkały się z ogólnym uznaniem, o tyle nie zaprzeczano, że sprawy, jakie poruszała, dotyczyły całości grupy niemieckiej. Nie stanowiły one zresztą same przez się żadnego novum. Nowością było, że rzeczniczką ich poczuła się ostatnio właśnie JDP i że to swoje zadanie wykonała w sposób wybitnie propagandowy, nie szczędząc przejaskrawionych barw, nieumiarkowanych słów oraz używając metod, które musiały budzić zastrzeżenia.

Częściej niż zwykle, a niewątpliwie świadomie celowo, podnoszono, że Niemcy przybywali do Polski w czasie wieków nie jako zdobywcy, lecz naprzód jako siewcy wiary i kultury, a następnie jako koloniści sprowadzani przez książąt, królów i panów polskich, i że zadania swoje wykonywali sumiennie ku pożytkowi i dobru państwa. Nie tylko jednak te historyczne zasługi dla Polski określają, zdaniem Niemców, ich prawa w Polsce. Polska współczesna bowiem zawdzięcza tylko ofierze krwi i życia żołnierza niemieckiego w czasie wojny swój niepodległy byt państwowy, jak to ostatnio przypomniała znowu „Deutsche Rundschau" z dn. 6 grudnia. Obok tych zasług i podstaw mówi się dalej o prawie boskim, przyrodzonym, naturalnym, które również uzasadniać ma prawa niemieckie w państwie polskim.

Dalsze rozważania przenoszą nas już na grunt ściśle politycznych działań, skarg, żądań i dążeń mniejszości niemieckiej.

Jak zaznaczono na wstępie, w okresie minionym odbył się szereg publicznych, politycznych zgromadzeń niemieckich, organizowanych głównie przez Jungdeutsche Partei. Celem ich było w pierwszym rzędzie wszechstronne oświetlenie stosunku pomiędzy państwem a mniejszością niemiecką, przedstawienie krzywd i trudności, z jakimi mniejszość ta musi w swym mniemaniu walczyć, oraz wskazanie dróg, na których zagadnienie mniejszości niemieckiej w Polsce nadałoby pewne i sprawiedliwe rozwiązanie.

Założeniem ogólnym dla tej akcji było stwierdzenie, że „nić sojusznicza" pomiędzy państwem polskim a mniejszością niemiecką coraz bardziej się rozciąga i napręża, że niedola Niemców w Polsce osiągnęła punkt szczytowy, że w zamian za obowiązki, do których pociąga się Niemców, nie przyznaje się im praw, że wręcz przeciwnie w niektórych dziedzinach panuje gwałt i samowola, i że mimo złożenia odnośnych memoriałów nie nastąpiły żadne korzystne zmiany w ich położeniu.

Na dowód tych twierdzeń przytaczano długie kolumny skarg i zarzutów pod adresem prasy, polskich czynników społecznych i władz. Władzom niższym zarzucano przy tym, że działają pod sugestią antyniemieckich czynników społecznych.

Za szczególnie znamienne dla chwili obecnej uważano przede wszystkim, że wśród tych czynników znalazły się, nie mówiąc już o „Polsce Zachodniej" lub PZZ, które stoją stale pod obstrzałem mniejszości, prorządowe „Gazeta Polska" i „Dziennik Poznański", które w artykułach z dn. 21 i 22 października zwróciły uwagę na pewne przerosty mniejszości niemieckiej w dziedzinie gospodarczej, jak posiadanie ziemi i spółdzielczość, żądając zredukowania udziału Niemców na tym polu do ich odsetka ludnościowego. Udowodniwszy, według siebie, fałsz tych poglądów, zapytywały „Deutsche Nachrichten" z 28 października w końcu artykułu p. t. „Kein Privileg, nur Vernunft und Gerechtigkeit": Czego chcecie właściwie od nas? Chcecie nas zniszczyć? Chcecie nas sproletaryzować, aby nas później łatwiej zasymilować, lub zmusić do emigracji? Nie możemy przyjąć, aby to było istotnym zamierzeniem najwyższych czynników rządowych...

„Czyż na wieki ma być usankcjonowany stan, że Niemiec nie będzie miał prawa do owoców swej pracy i pilności, swych codziennych trudów i kłopotów?

„Chcemy żyć i rozwijać się w tym państwie jako czynnik twórczy, aby przez to służyć narodowi i państwu polskiemu. Trzeba jednak do tego zwykłego rozsądku i prymitywnego poczucia sprawiedliwości u sfer rządowych naszego państwa."

Zarzuty, jakie wytaczano na zgromadzeniach pod adresem władz, ująć można w następujące ogólne punkty:

1) niezatwierdzanie nowych stowarzyszeń, a szczególnie młodzieżowych — 2) zawieszanie, rozwiązywanie, względnie stosowanie innych represji w stosunku do stowarzyszeń istniejących — 3) zakazywanie i niedopuszczanie do różnych imprez niemieckich — 4) nieprzydzielanie chłopom niemieckim ziemi z parcelacji i uniemożliwianie nabywania ziemi w wolnym obrocie — 5) likwidowanie spichlerzy niemieckich — 6) skazywanie Niemców na bezrobocie — 7) walka, nie przebierająca w środkach ze szkolnictwem niemieckim — 8) upośledzenie Niemców na polu wyznaniowym, — 9) zezwalanie na antyniemiecką propagandę nieodpowiedzialnych elementów i prasy polskiej — słowem ograniczanie i uniemożliwianie Niemcom swobody i rozwoju życia na polu organizacyjnym, gospodarczym, kulturalnym i wyznaniowym.

Przechodzimy do metody, jaką stosowano, wysuwając powyższe skargi i żądania. Metodzie tej nie można nie przyznać politycznej zręczności i gdy z jednej strony głoszono o bezprawiach, jakim poddana jest rzekomo mniejszość niemiecka w Polsce, podkreślano równocześnie z pośpiechem pełną lojalność Niemców oraz ich wolę do współpracy z państwem.

„Nie chcemy protestować przeciw bezprawiu, lecz wskazywać nowe drogi do współżycia z narodem gospodarczym..." deklarowano, lub też, po demonstracyjnym wykrzykiwaniu o gwałtach, jakim ma podlegać mniejszość niemiecka, wołano: „Umożliwcie nam egzystencję, a obiecujemy wam stuprocentową lojalność... i t. d. Te „gewaltige Kundgebungen" były już — pisał „Der Aufbruch" z 12 — 13 grudnia — „głosem ostrzeżenia pod adresem miarodajnych czynników naszego państwa" i t. p. Przytoczyliśmy tu zaledwie kilka przykładów, pomijając inne, może nawet bardziej jeszcze wymowne. Wszystkie one dowodzą jednak tego, że metody używane ostatnio przez JDP przy omawianiu stosunku pomiędzy grupą niemiecką a państwem miały akcenty ostre i twarde i różniły się wielce od metod dotychczasowych, przez tę partię przyjętych. Zmiana ta rzucała się do tego stopnia w oczy, że opinia „starych" z pewną ironią stwierdzała przyjęcie przez JDP taktyki walki, za którą jeszcze nie tak dawno atakowała „starych".

Niewątpliwie JDP musiała zdawać sobie sprawę, że takie ujmowanie problemu nie mogło nie być dla państwa szkodliwe, zwłaszcza wobec zaangażowania do tej propagandy rad'a niemieckiego i szerzenia przez nie fałszywych sugestji o Polsce. Przemilczanie równoczesne z tym o trudnościach i nacisku, z jakimi walczyć muszą Polacy w Niemczech, nie świadczy również o obiektywiźmie JDP. Przeciwnie i w tej dziedzinie powiększano istniejące zadrażnienia, gdyż nie można traktować inaczej obszernego artykułu „Deutsche Nachrichten" z dn. 13 listopada, opisującego jakiś wypadek w Gdańsku, pod wielomówiącym, a sensacyjnym tytułem: „Polen verunglimpfen Reichssymbole". Z drugiej strony usiłowano także szerzyć opinię, że swobody Polaków w Niemczech są — przynajmniej pod pewnymi względami — daleko większe niż Niemców w Polsce.

Stwierdzając w ten sposób rzekomą beznadziejność swego położenia, przechodziła grupa niemiecka w Polsce do stawiania swych żądań, w których mieści się również recepta na rozwiązanie zagadnienia niemieckiego w Polsce.

Przystępując do rozpatrzenia tych żądań, przypomnijmy sobie, na jakich przesłankach moralnych opiera mniejszość niemiecka swoje prawo do stawiania takich, czy innych postulatów. Mówiliśmy już o prawie historycznym i boskim, o dobrze wypełnianych obowiązkach, a więc i należycie nabytych prawach — na co powołują się Niemcy. Są to jednak podstawy zbyt ogólnikowe i teoretyczne. Mając świadomość tego, zeszli przeto Niemcy na grunt bardziej realny i wysunęli na plan pierwszy Konstytucję oraz uchwały Kongresu Polaków Zagranicznych z 1934 r. Stoimy na gruncie Konstytucji i żądamy tylko tego, czego naród polski życzy sobie dla Polaków zagranicznych, a co oni sami uchwalili w rezolucjach swego zjazdu — oświadczali Niemcy. W dalszym ciągu rozumowania dodawano zaś, że kiedy w obecnej sytuacji, gdy władze miejscowe stosują tysiączne ograniczenia do życia niemieckiego, mimo lojalnego wypełniania przez nich obowiązków, nie ma warunków do urzeczywistnienia praw wynikających dla mniejszości niemieckiej z Konstytucji, prawa Niemców winny zostać ściśle określone w jakiś inny sposób. Co więcej! Prawa te powinny mieć za sobą powagę całego państwa, które nie wahałoby się w razie potrzeby użyć siły i przymusu, w celu zabezpieczenia im praktycznej skuteczności. Takie uregulowanie zagadnienia niemieckiego winno być poza tym według zapatrywań niemieckich powszechne, t. j. odnosić się do wszelkich dziedzin życia i do wszystkich terenów, aby nie powtarzały się częste dzisiaj wypadki, że wiele rozstrzygnięć zależy od osobistego mniemania naczelnika władzy miejscowej, a to, co jest dozwolone na jednym terenie, zabronione jest na innym. Dalszym, ściśle jednak z tym związanym, życzeniem, wynikającym zresztą z ogólnych postulatów i założeń niemieckiej nauki o mniejszościach, jest postulat przyznania Niemcom prawa stowarzyszenia wyższej użyteczności. W ten sposób bowiem w rachubę weszłyby nie tylko indywidualne prawa i interesy członków mniejszości, lecz prawa całej grupy narodowej. Życzeniem innego charakteru jest domaganie się, aby państwo uznało w jakikolwiek sposób prawo Niemców do narodowego - socjalizmu. Podkreślano przy tym, że idzie o światopogląd, a nie o polityczne strony narodowego socjalizmu.

Na tym wyczerpalibyśmy całość problemu, o ile idzie o stosunek mniejszości niemieckiej do państwa. Był on — jak wspomnieliśmy już na wstępie — omawiany przez mniejszość niemiecką szczegółowo i przede wszystkim na publicznych zgromadzeniach JDP. Najwyższa fala tych zgromadzeń spłynęła w pierwszych dniach grudnia. Podsumowując przyczyny, które ją wywołały, cel którym służyła i skutki, jakie osiągnęła, pisał sen. Wiesner w „Deutsche Nachrichten" z 8 grudnia w następującym sensie: Niemcy przedstawili swoje życzenia i nigdy innych żądań nie wysuną, gdyż te pozostaną takimi, jakimi są dzisiaj. W szczerej chęci wyciągamy swą dłoń i prosimy, aby jej nie odrzucać.

Z TRYBUNY PARLAMENTARNEJ

Jakób Hoffman
Poseł na Sejm

Zagadnienia oświaty i wiedzy

Z przemówienia wygłoszonego w dyskusji nad budżetem Min. W. R. i O. P. w dniu 20.II.1937 r.

Za rzecz najważniejszą w dziale oświaty uważam wychowanie człowieka. Na Komisji Budżetowej, a także dzisiaj, Pan Minister poświęcił temu zagadnieniu szczególną uwagę. Trzy tezy dał wówczas Pan Minister w sprawie wychowania: harmonia między domem a szkołą, to była jedna teza, druga — to wychowanie fizyczne i trzecia — miłość Ojczyzny. Specjalnie wiele czasu poświęcił Pan Minister omówieniu tej trzeciej tezy.

Przyznam się, że moim zdaniem brak tu jeszcze jednej, bardzo ważnej tezy — wychowania człowieka, człowieka pełnego, brak tezy o należytym stosunku do drugiego człowieka.

Tutaj pozwolę sobie sięgnąć znowu, jak ostatnio, do pewnych naszych żołnierskich tradycyj — nie tych moich, nie z naszego wieku, ale o wiele dawniejszych. Wtedy, kiedy armia nasza składała dowody swego męstwa nie na ziemi polskiej, ale tam, daleko, cztery pokolenia temu, każdy żołnierz miał ramieniu wypisane: „wszyscy ludzie wolni są sobie braćmi".

My w Państwie naszym sami nadaliśmy sobie Konstytucję, sami uchwalaliśmy pewne rzeczy i powiedzieliśmy w tej Konstytucji, pierwszej i drugiej, że każdy obywatel jest równy — równy, a moim zdaniem winien być i wolny. Lecz jeśli każdy obywatel wolny, każdy człowiek ma być moim bratem, to ja muszę dać temu wyraz w wychowaniu, żeby w przyszłości rzeczywiście tak było, żeby każdy obywatel Rzeczypospolitej był w stosunku do drugiego bratem. Na to położyłbym nacisk jeszcze dlatego, że pomiędzy obywatelem, a tym, co nazywamy Ojczyzną, Państwem, będzie jakiś pośrednik w postaci obozu, ale w tym obozie przyszłym znajdzie się tylko część obywateli — narodu polskiego. Pozostanie jeszcze pewna duża część obywateli Państwa poza tą grupą i dla nich trzeba znaleźć jakąś nić łączącą głębiej z tym Państwem, trzeba ich będzie silniej związać i, zdaje mi się, że tą nicią nie może być nic innego, jak tylko miłość człowieka do człowieka, a poprzez nią — miłość do Państwa — Ojczyzny. Tam, na Wołyniu, gdzie pełniłem dotychczas służbę, gdy niedawno przyszło mi referować o stanie oświaty w szerszym społeczeństwie, między innymi postawiłem taką tezę, która została uchwalona:

> „Zadaniem nauczyciela Polaka na Wołyniu jest umacnianie ducha polskiego i świadomości obowiązków naszych wobec Rzeczypospolitej. Zadaniem nauczyciela Polaka wobec ludności niepolskiej, a w szczególności wobec ludności ukraińskiej, jest tworzenie warunków najbardziej sprzyjających, aby dziecko spotkało w szkole atmosferę życzliwości i poszanowania odrębności narodowej. Więź łącząca psychikę i świadomość tego dziecka z Polską winna być naturalnym wyrażem zespolenia świadomości narodowej ze świadomością państwową obywatela Rzeczypospolitej. Stanie się to przez zetknięcie się jego z kulturą naszą w jej najgłębszym i najlepszym wyrazie. Cel ten osiągnie się przede wszystkim wówczas, gdy nauczyciel będzie ściśle przestrzegał i sumiennie wykonywał wskazania obowiązującego na dzień dzisiejszy programu nauczania w dziedzinie językowej i narodowej".

To jest jeden postulat. Ale chciałbym pójść i dalej. Przecież, jak to się mówi, nie znamy ani dnia, ani godziny. Jesteśmy dziś w fazie, kiedy się ciągle pisze i mówi o oczekującej nas, w niezbyt dalekiej przyszłości, jakiejś wojnie. Cóż ma być tym łącznikiem między Państwem i obywatelem a tym drugim, który się nie zmieści w tym obozie. Nie pozostaje nic innego, jak znów tylko miłość człowieka. Inaczej nie wyobrażam sobie, ażeby w dzisiejszym stanie wychowawczym, w tej psychozie, jaka dzisiaj jest, jeżeli spadnie na nas to wielkie nieszczęście, bo wojna jest wielkim nieszczęściem mimo wszystko, by tego obywatela, który czuje się dziś pokrzywdzony i samotny, mógł z dostateczną siłą porwać ten największy ideał, jaki ma każdy obywatel, to jest to poświęcenie się dla Ojczyzny.

Pan poseł Gładysz, mówiąc tutaj o zagadnieniach rolnych, powiedział między innymi, że reforma rolna powinna iść razem z rozwojem przemysłu. Tak było u sąsiada zachodniego. Chciałbym to zdanie uzupełnić, chciałbym troszeczkę i dalej pójść. Jeżeli chodzi o odcinek rolny, a powiedzmy ściśle o własność rolną, gdy zwłaszcza w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku własność wielka u nas kurczyła się, to ta własność wielka, która dostała pieniądze za swoją ziemię, nie potrafiła włożyć tych wielkich pieniędzy w przemysł: pieniądz ten gdzieś się podział.

Chciałbym zanalizować, dlaczego tak było. I znowu, żeby zrozumieć to zjawisko, musimy cofnąć się do historii, która zawsze najlepiej poucza. Przypomnijmy sobie, że Królestwo Pruskie, zniszczone zupełnie przez Napoleona, gdy przystąpiło do zbudowania swojego nowego życia, przede wszystkim wystawiło 3 uniwersytety. Uniwersytety te dały profesorów, o których w kilkadziesiąt lat później mówił lord Palmerston, że Prusy to przeklęty kraj profesorów, którzy stworzyli tam wielki przemysł i armię. Jeżeli popatrzymy, powiedzmy sobie, na Anglię, to zobaczymy, że tam w drugiej połowie XIX wieku nastąpiło wielkie rozwinięcie się przemysłu. I wskutek czego? Również dzięki nauce, a nie czemu innemu.

Nauka jest tym problemem i tą podstawą, która dźwignęła przemysł w Anglii i w Niemczech. Nauka i kultura, dwie te rzeczy, wywodzą się od wspólnej podstawy, jaką jest wiedza. Wiedzę zdobywamy w różnych szkołach, początki w szkole powszechnej, propedeutykę wiedzy zdobywamy w szkole średniej, szkoła wyższa zaś ma nam dać wiedzę i tych przyszłych profesorów i przyszłych uczonych. Jak ta sprawa u nas się przedstawia?

Jest wielki brak profesorów. Jeżeli popatrzymy się na te uniwersytety dzisiejsze, to widzimy niesłychanie ciekawe zjawisko. Są to tereny nieustającej wojny. Nie wchodzę w szczegóły, to są niewątpliwie ważne rzeczy, ale w tym ujęciu—jak je teraz biorę—drugorzędne. Ważną rzeczą jest fakt, że przez tyle dni, przez tyle tygodni, Uniwersytet, ta szkoła wyższa, która ma nam dać profesorów i uczonych dla rozbudowy przemysłu i większego dobrobytu, jest zamknięta... Ten stan nie jest normalny i musi być jak najprędzej zlikwidowany. Chodzi tutaj o wiedzę, która dała innym narodom naprzód profesorów, następnie rozwój przemysłu.

Lecz jest i trzeci problem, który chcę tutaj poruszyć. Mam przed sobą książkę Erazma Majewskiego: „Profesor Przedpotopowicz". Zapewne nie jeden z nas czytał ją przed wojną i nie jeden z nas kształcił się na niej w młodości jako przyszły geolog czy paleontolog. Tam mamy między innymi takie półtorej strony. Ten geolog w pewnym momencie, dla udowodnienia swojej tezy geologicznej, wylatuje gdzieś w górę i obserwuje świat tam, wysoko i powiada w ten sposób: „...Jestem w niebie — myślał geolog i popadł w głęboką zadumę. Ale czyż kiedykolwiek byłem gdzie indziej? — rozumował dalej. Czy nawet na ziemi nie byłem z nią razem w niebie? — Niebo. Ono jest mieszkaniem Boga. A więc gdzie Bóg? dlaczegóż go nie widzę?

Gdym był chłopięciem uczyła mnie matka, że jest w Niebie, na ziemi i na każdym miejscu...

Niebo jest wszędzie, więc i Bóg musi być wszędzie. Na ziemi, na Arkturze, na Wedze, na najdalszych słońcach i mgławicach.

On napełnia świat... Gdzież On?

A może Go nie ma?

Może lepiej widzą ci, którzy Go zaprzeczają?

Może jest świat tylko, a poza nim nic więcej?

Ale cóż to jest świat? Czy pojął kto istotę jego?

Naprawdę, świat tak samo mało rozumiemy, jak Boga...

Zagadki, same zagadki...

Chyba już i świata nie ma, nas nie ma, nic nie ma.

I pogrążył się nasz filozof w przykrym i długotrwałym odrętwieniu.

Znowu kilka słońc rozjaśniło niebiosa, kilka komet napełniło całą sferę swym ogonem, a roje meteorytów, niby zwinne jaskółki, przecinały etery, przez które szybował rozkołysaną wyobraźnią myślący pyłek ziemski".

Po tym ustępie mamy dwie linie kropkowane i dalej będę czytał:

„Przecież świat nie da się zaprzeczyć, rozumował, on żyje życiem niezliczonych swoich mieszkańców, czuje bilionami serc, przemyśliwa nieskończoną ilością istot myślących, wyciąga błagalnie lub dziękczynnie miliony rąk do Nieba. Więc coś nad tym światem koniecznie musi być. Coś wielkiego, wspanialszego nad wszelkie nasze wyobrażenia.

Jakaś Dobroć, większa nad wszystkie dobroci, jakaś Myśl nad myślami, Mądrość, jakaś Prawda, która przenika nieskończoność, która rządzi atomami i energią świata, której wszystkie duchy łakną, podobnie jak kwiaty łakną światła słonecznego...

Ale czy mizerne atomy, czołgające się po jakimś tam większym pyłku, zwanym przez nas ziemią, mogą posiadać dość mocy do wyrokowania o Wszechzagadce świata? Czy skończone może objąć nieograniczoność? Alboż robak, zrodzony wewnątrz jabłka, zdolnym jest wiedzieć, co jest poza jabłkiem, z którego nie wyjrzał? Czy wolno mu twierdzić na podstawie własnej nieświadomości, że nie ma nic poza jabłkiem? Że nie ma jabłoni, nie ma sadu ani ogrodnika?

O nie. Nami władają niewidzialne promienie tej niewysłowionej Potęgi, tego Ducha, który jest w Niebie, na ziemi i na każdym miejscu".

Panie Ministrze, Dowiedziałem się, że tę książkę chciano jeszcze raz wydrukować i puścić tak jak dawniej, aby młodzież lat 15-tu, 16-tu, 17-tu miała to jako propedeutykę nauki geologii i paleontologii. I Ministerstwo między innymi zakwestionowało ten pierwszy ustęp, który przeczytałem, jakoby niezgodny z religią. Mnie się zdaje, że te oba ustępy, które przeczytałem, są bardzo głęboko religijne. Przyjmijmy, że ten pierwszy ustęp może wzbudzić pewne przejściowe wątpliwości u młodzieńca, który to czyta. Lecz czyż człowiek nigdy nie popada w żadne wątpliwości? Czy uczony, który coś bada, nie ma tych wątpliwości. Potem jednak przychodzi ten wielki moment wielkiej radości tworzenia, kiedy on, jako uczony, może powiedzieć: Eureka.

Czy naprawdę tak jest, że w Ministerstwie może być zakwestionowana rzecz tego rodzaju? Mnie się nie chce w to wierzyć, lecz przecież powiedzieli mi to ludzie, którym ja wierzę. Zaapelowałbym przeto do Pana Ministra, aby wejrzał w to, aby w przybytku wielkiej władzy, która ma kierować wiedzą i duchem ludzkim, nie wytworzyła się jakaś wielka płycizna, bo stąd naprawdę może płynąć wielka szkoda dla ducha i kultury naszej.

Felicjan Lechicki
Senator R. P.

Surowce i ich ceny

Z referatu na Komisji Budżetowej Senatu w dyskusji nad preliminarzem Min. P. i H.

Z zagadnień wysuwanych w ostatnich czasach zarówno w publicystyce fachowej, jak i w memoriałach składanych przedstawicielom Rządu przez strony zainteresowane, jak i w tendencji ujawnionej na konferencji gospodarczej, zwołanej przez Rząd we wrześniu roku zeszłego, jednym z najdonioślejszych jest zagadnienie zwyżki cen wogóle, a cen surowców w szczególności. Chodzi przede wszystkim o węgiel, naftę i żelazo. Znane jest zjawisko, że w okresie wzrastającej koniunktury, szybciej rosną ceny surowców od cen wyrobów gotowych. Teoria więc daje uzasadnienie. Ceny surowców zwyżkują na całym świecie, dochodząc niekiedy do kilkudziesięcioprocentowej zwyżki. Sprawę tę należy rozpatrzyć zarówno z punktu widzenia interesów przemysłu, warunków nabywania surowców pochodzenia zagranicznego, jak i możliwości konsumcyjnych rynku własnego.

Zaczynam od żelaza. Produkcja naszego hutnictwa oparta jest w dużym procencie o surowiec zagraniczny: złom żelazny i wysoko procentowe rudy skandynawskie i rosyjskie. Złom żelazny zwyżkował na rynkach zagranicznych o 40%, ruda żelazna o 30%. Francja przeprowadziła zakaz wywozu złomu, Stany Zjednoczone wprowadziły cło eksportowe, zapasy surowca w naszych zakładach hutniczych są b. małe. Tak więc zagadnienie ceny żelaza jest aktualne, przy czym winno ono być rozpatrywane z punktu widzenia znacznie rozszerzonego rynku wewnętrznego i możliwości reeksportu.

Przechodzę do węgla. Ceny węgla na rynku wewnętrznym są cenami opłacalnymi. Ceny węgla na rynkach eksportowych były dotychczas na jednych deficytowe, na innych pokrywały t. zw. końcowe koszta produkcji. Konsumcja w kraju rośnie, wskaźnik produkcji przemysłu, tego głównego odbiorcy produkcji węglowej wzrósł o 8 punktów. Przewozy kolei, tego drugiego ważnego konsumenta węgla, wzrosły również, wreszcie zeszłoroczne doświadczenie „Wspólnoty interesów" przy sprzedaży węgla na wsi — rokują produkcji przemysłu węglowego w Polsce znaczną poprawę zbytu na rynku wewnętrznym. Z zagranicy przychodzą wiadomości o znacznym podwyższeniu ceny węgla na niektórych rynkach. Donoszą, że zagadnienie to jest aktualne i w Anglii, a więc w rezultacie może ulec zmianie na lepsze sytuacja na deficytowych dotychczas rynkach skandynawskich. Eksport może więc znacznie opłacać nie tylko końcowe koszty produkcji. Tak więc poprawa koniunktury węglowej zdaje się być niewątpliwa. Pozostaje natomiast palące zagadnienie zniszczeń inwestycyj w przemyśle węglowym i konieczność ich renowacji. Zdolność produkcyjna naszych kopalń. podług zdania fachowców, spadła z 50.000.000 ton na 36.000.000. Nie było to groźne w okresie lat ostatnich, gdy wydobycie dochodziło tylko do 28½ mil. ton w r. 1935, może ono jednak przeszkodzić wyzyskaniu ewentualnej konsumcji. Stąd sprawność produkcyjna powinna być podniesiona przynajmniej do ilości 46.000.000 ton, to jest do ilości wydobytej w r. 1929. Podług obliczeń cytowanych na Komisji Budżetowej Sejmu przez posła Sowińskiego wyniosłoby to około 188.000.000 zł. Przemysł węglowy domaga się podniesienia ceny węgla o 6%. Warunek ten stawia jako konieczny dla przystąpienia do robót inwestycyjnych. Nasuwa się tu wprawdzie pytanie, czego dokonał przemysł węglowy w dziale inwestycyj w okresie swojej świetnej koniunktury w latach 1926 — 1929, lecz w chwili obecnej jest to już tylko pytanie retoryczne. Stwierdzić natomiast trzeba, że ewentualna podwyżka odbije się na interesach przemysłu przetwórczego, kolei, szerokich warstw konsumentów, miast i wsi, do której przede wszystkim dotrzeć trzeba, a dotrzeć można tylko niską ceną węgla. W tych warunkach sądzę, że problem inwestycyjny przemysłu węglowego powinien znaleźć swoją realizację nie w płaszczyźnie ceny, lecz raczej w płaszczyźnie kredytowej, może nawet częściowo gwarantowanej przez Państwo.

Powracam do zagadnienia rynku wiejskiego. Rynek ten po doświadczeniach „Wspólnoty interesów" powinien, zdaje mi się, dla przemysłu węglowego, lub dla jego organizacji handlowej, np. dla „koncernów" „Robur", „Progres" i „Fulmen", stać się dużą atrakcją. Obserwacje uczynione w Kieleckim, Lubelskim i Tarnopolskim wykazują średnio spożycie węgla w gospodarstwach włościańskich na 1000 kg. Natomiast Gąsocin, gdzie okolica jest zamożniejsza, wykazuje spożycie — 4000 kg. na gospodarstwo. Gdybyśmy zatem w Polsce, która posiada około 3.000.000 samodzielnych gospodarstw chłopskich, doszli do przeciętnego zużycia około 1.000 kg węgla na gospodarstwo, — to wieś polska zaczęłaby zużywać węgla około 3.000.000 ton rocznie w miejsce dotychczasowych 500.000 ton. Zrealizowanie tego programu to dodatkowe zatrudnienie 6.000 robotników, 400 urzędników i około 2000 osób przy sprzedaży. Oczywiście na okres najbliższy do zakresu fantazji należy doprowadzenie przeciętnego zużycia węgla do norm, spotykanych w Gąsocinie, t. zn. do 4000 kg. na gospodarstwo rocznie. Gdyby jednak można było kiedyś konsumcję doprowadzić do tej wysokości, to zużycie węgla na wsi wyniosło by około 12.000.000 ton. W pierwszym wypadku — przy 3.000 ton — rynek miejscowy wyrównałby połowę luki powstałej skutkiem zahamowania w roku 1925 eksportu do Niemiec ;w drugim — przy 12.000.000 ton — moglibyśmy nie mówić o koniecznościach eksportowych węgla, a debatować nad obniżką ceny wewnętrznej, tak jak obecnie rozpatrujemy jej ewentualną zwyżkę.

Przechodzę z kolei do trzeciego surowca, którego konsumcja i ceny mają dla naszego kraju pierwszorzędne znaczenie, do nafty. Najbardziej niepokojącym zjawiskiem jest spadek produkcji surowca, który jak dotąd ustawicznie z roku na rok maleje. W ciągu ostatnich 6-ciu lat wyprodukowano w Polsce ropy:

Rok 1930 — 66.276 cystern
„ 1931 — 63.028 „
„ 1932 — 55.668 „
„ 1933 — 55.057 „
„ 1934 — 52.921 „
„ 1935 — 51.476 „
„ 1936 — 50.000 „

Produkcja nasza stanowi 0,23% produkcji światowej. Przyczyną spadku produkcji surowca jest z roku na rok wyczerpywanie się okręgu górniczego Drohobycz. Powiększają natomiast swoją produkcję okręgi górnicze Jasło i Stanisławów. Są to jednak okręgi niezbyt bogate w złoża naftowe. Nie było by żadnego powodu do obaw o naszą przyszłość naftową, gdybyśmy rozporządzali wystarczającymi rezerwami w postaci nowych odkrytych pól naftowych gotowych do eksploatacji. Tak jednakże nie jest i to jest jeden z powodów, dla którego należy położyć wielki nacisk na prace Państwowego Instytutu Geologicznego. I tu, jak przy zagadnieniu przemysłu węglowego, zagadnienia inwestycyjno-kapitałowe wybijają się na plan pierwszy. W krajach, w których ryzyko jest nie duże, jak np. Rumunia, gdzie złoża naftowe znajdują się na głębokości 300 — 600 metrów — kapitał angażuje się chętnie w przewidywaniu dużych zysków. Tam, gdzie warunki są trudniejsze, złoża naftowe nierównie głębsze (np. firma „Pionier" pod Kossowem, dobywa ropę dopiero na głębokości 2.000 m.) dopływ świeżych kapitałów na nowe wiercenia jest nierównie trudniejszy. I tutaj więc znowu zjawia się zagadnienie zwyżki ceny. Przedsiębiorcy wysuwają postulat zwiększenia ceny nafty wewnątrz kraju o 5 gr., domagając się, żeby cena ropy stała na wysokości, zachęcającej do nowych wierceń, (art. inż. Wandycza w dwutygodniku „Przemysł Naftowy" Rok 1936 zeszyt 3-ci). Czy jednak jest to postulat słuszny? W ciągu ubiegłego roku zaszły pomyślne zmiany w konsumcji produktów naftowych w naszym kraju. Przyczyniła się do tego właśnie obniżka cen. która początkowo rezultatów nie dawała, co powodowało silne zdenerwowanie ze strony przedstawicieli przemysłu naftowego. Jednak już w drugiej połowie roku zarówno obniżka cen jak i ogólna poprawa gospodarcza i celowe posunięcia Rządu w dziedzinie ułatwienia motoryzacji kraju, spowodowały znaczną zwyżkę konsumcji produktów naftowych. Porównanie roku 1935 z rokiem 1936 daje nam następujące zestawienie:

Produkt	Rok 1935	Rok 1936
Benzyna	61.693 t.	63.926 t.
Nafta	122.393 t.	127.987 t.
Olej gazowy	54.618 t.	58.246 t.
Oleje smarowe	40.432 t.	41.618 t.
Parafina	8.259 t.	9.417 t.
Inne	26.266 t.	28.074 t.
Razem	313.661 t.	329.268 t.

Oczywiście zwyżkę tę dyskontuje w poważnym stopniu również i Skarb Państwa. Od 100 kg. benzyny płaci się bowiem 9 zł., od nafty 8 zł., olejów smarowych 7 zł., parafiny i świec 10.5 zł. Wydaje mi się, że gdyby czynniki rządowe uznały za słuszne dezyderaty przemysłu naftowego, to w żadnym wypadku nie należało by obciążać rozwijającej się konsumcji w kraju i ze względu na potrzeby ludności i ze względu na rozwój motoryzacji, a raczej iść po linii ustąpienia części cichego udziału Państwa, który stanowi w cenie benzyny prawie 1/8, a w cenie nafty — więcej niż 1/5 cen detalicznych.

Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Sprawy neutralności

(z. d.) Przemawiając 30 stycznia w Reichstagu kanclerz Hitler wyraził gotowość gwarantowania ewentualnej trwałej nieutralności Belgii i Holandii. Mogło więc zwrócić uwagę, że kanclerz Trzeciej Rzeszy nie uczynił podobnej propozycji odnośnie Szwajcarii. Ale 23 lutego, w rozmowie z bawiącym w Berlinie w charakterze prywatnym byłym ministrem szwajcarskim Schulthessem, Hitler oświadczył, że „egzystencja Szwajcarii odpowiada konieczności om europejskim... Mówiąc w moim ostatnim przemówieniu w Reichstagu o neutralności innych państw, pominąłem świadomie Szwajcarię, albowiem tradycyjna jej neutralność zawsze przez nią stosowana i zawsze szanowana przez mocarstwa, a więc i przez nas samych, nie ulega dyskusji. Zawsze i co tylko by zaszło, uszanujemy całość i nienaruszalność Szwajcarii. Potwierdzam to kategorycznie."

Neutralność Szwajcarii opiera się dziś na takiej samej podstawie, co i neutralność Belgii przedwojennej. Szwajcaria była pierwszym państwem europejskim, które przyjęło statut trwałej neutralności. — Austria, Prusy, Francja, Anglia i Rosja oświadczyły na Kongresie Wiedeńskim, że neutralność i nienaruszalność terytorium Szwajcarii, jak i jej niezależność od wszelkiego wpływu obcego, odpowiadają prawdziwym interesom Europy. Do oświadczenia tego przyłączyła się Szwajcaria „aktem zurychskim" z 27 maja 1815. Neutralność Szwajcarii była więc oparta od początku na partykularnym prawie umownym, a nie na prawie powszechnym. Na prawie umownym oparła się również trwała neutralność Belgii. Zagwarantowana została przez Prusy, Austrię, Anglię i Rosję umowami, spisanymi przez te mocarstwa z Belgią i Holandią 19 kwietnia 1839. Neutralność Belgii potwierdziły w roku 1870 Prusy i Francja w umowach, spisanych z Anglią. Inaczej było z chwilą wybuchu Wielkiej Wojny. Gdy w sierpniu 1914 wojska niemieckie wkroczyły do Belgii, ówczesny kanclerz Rzeszy oświadczył w rozmowie z ambasadorem angielskim, że dziwi się, iż Anglia grozi wojną pobratymczemu narodowi niemieckiemu z powodu tak nadużywanego słowa jak neutralność. Kanclerz oznajmił nadto, że umowa z 1839 jest w gruncie rzeczy tylko „skrawkiem papieru". Jasnym więc było po zakończeniu wojny lat 1914 — 18, iż Belgia, posiadająca dla Niemiec znaczenie jedynej praktycznie możliwej drogi marszu na Paryż i jedynej trasy lotu na Londyn, może być broniona jedynie fortyfikacjami i silną armią, a nie prawem umownym, którego Niemcy nie szanują. Dlatego też artykuł 31 traktatu wersalskiego stwierdza, że umowy z 1839 nie odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy. Artykuł ten zniósł trwałą neutralność Belgii, natomiast neutralność umowna Szwajcarii została potwierdzona.

W oświadczeniach swych kanclerz Hitler przeprowadza ściśle rozgraniczenie między problemem neutralności Szwajcarii, a Belgii i Holandii. Neutralność Szwajcarii traktuje jako a k s j o m a t polityki międzynarodowej. Natomiast Belgia i Holandia mogą się stać terenem akcji wojennej. Mogą stać się nim z pewnością, jeśli mocarstwa zachodnie odrzucą propozycję Hitlera o gwarantowaniu neutralności państw niderlandzkich. Ale i spisanie odpowiednich umów nie usnęłoby w tym względzie wątpliwości i niepokojów. Prawo międzynarodowe zna obalenie umowy w powołaniu się na t. zw. *clausula rebus sic stantibus*. Norma ta umożliwia obalenie umowy wtedy, kiedy ulegają istotnej zmianie warunki, w których powstała. Rozciągłość normy tej otwiera szerokie pole do nadużyć międzynarodowych. Na normę tę powołały się ostatnio Niemcy, obalając pakt lokarneński. Istotnej zmiany warunków Niemcy dopatrzyły się w zawarciu przez Francję paktu z Sowietami. Gdyby spisano dziś umowę o trwałej neutralności Belgii i Holandii, wtedy za kilka lat Hitler mógłby również znaleźć pretekst do powiedzenia, że umowa ta nie może go obowiązywać „w wytworzonych obecnie warunkach".

Oświadczenia Hitlera nie mogą więc zachęcić Belgii i Holandii do zgody na trwałą neutralność. Jeżeli bowiem jedyną niezależną od jakiegoś „ale" gwarancją neutralności są fortyfikacje i armia, to pocóż brać na siebie więzy i obowiązki w zakresie polityki zagranicznej, wynikające z przyjęcia trwałej neutralności, opartej na umowie? Belgia życzy sobie pozostać zawsze neutralną i trzymać się zdala od wszelkich z o b o w i ą z a ń niesienia pomocy na wypadek wojny, ale nie myśli o powrocie do neutralności u m o w n e j , chcąc mieć wolne ręce na wypadek konfliktu. Belgia jest dziś państwem o sile zbrojnej, której nie można lekceważyć, jak w roku 1914. Dlatego też Belgia nie chce pozbawić się atutów politycznych międzynarodowych, jakie daje możność rzucenia na szalę wydarzeń w odpowiednim momencie decyzji swej o poparciu zbrojnym innego państwa.

Holandia odrzuciła propozycję Hitlera o gwarantowanej trwałej neutralności i przystąpiła do zorganizowania należytej ochrony granicy swej z Niemcami. Szwajcaria również się zbroi. Nie można zapomnieć, że w roku 1870 Niemcy uznały neutralność Belgii za aksjomat i konieczność europejską, ale w roku 1914 neutralność Belgii złamały. Dawna neutralność Belgii i dzisiejsza neutralność Szwajcarii opierają się na tych samych podstawach międzynarodowo - prawnych. Można więc oczekiwać podobnego losu obu tych neutralności. Jak w roku 1870 Niemcy uroczyście potwierdziły i uszanowały, a w roku 1914 złamały neutralność Belgii, tak w roku 1937 Hitler potwierdza uroczyście, a w roku 19.. może złamać neutralność Szwajcarii.

Przeciw powrotowi Habsburgów

W notatniku z dnia 21 lutego mogliśmy stwierdzić, że główne różnice zdań, istniejące w łonie społeczeństwa austriackiego w sprawie powrotu Habsburgów, nie dotyczą istoty rzeczy, tylko oceny chwili odpowiedniej dla realizacji monarchii. Stwierdziliśmy również, że Mussolini, w przeciwieństwie do Hitlera, jest zwolennikiem powrotu Habsburgów, gdyż widzi w tym najlepszą gwarancję niezawisłości Austrii od Niemiec. Sprawę ewentualnej restauracji określiliśmy jako ściśle związaną z rozwojem polityki włosko - niemieckiej.

W dniach 22 — 24 lutego bawił w Wiedniu minister spraw zagranicznych Rzeszy von Neurath, rewizytując swego austriackiego kolegę dr. Schmidta, który wizytował rząd niemiecki w listopadzie ub. roku. Wizyta min. Neuratha miała na celu pogłębienie podstaw współżycia obu państw, na gruncie umowy z 11 listopada 1936, w której Rzesza zobowiązała się uszanować niezależność Austrii. Wizyta min. Neuratha nie odbyła się w atmosferze korzystnej dla dalszego rozwoju stosunków austriacko - niemieckich. Nacjonaliści austriaccy wykorzystali obecność ministra Rzeszy dla dokonania prowokacyjnych manifestacji ulicznych. Stało się tak, że w chwili, kiedy min. Neurath jechał z dworca kolejowego do hotelu policja aresztowała w tłumie grupy, krzyczące „Heil Hitler!" Preludium było więc minorowe. Takie były — zapewne — i same obrady ministrów. Z niezmiernie powściągliwego komunikatu, wydanego po zakończeniu obrad min. Neuratha z austriackimi mężami stanu i z wygłoszonych przemówień wynika, że ustalenie normalnego pożycia sąsiedzkiego między Austrią a Niemcami na podstawie pełnej niezależności politycznej Austrii jest niezmiernie trudne. W każdym razie, jak się wyraził min. Schmidt, „wiele jeszcze jest do zrobienia", zanim to nastąpi.

Negatywny wynik wizyty wiedeńskiej min. Neuratha, opinia międzynarodowa stwierdziła z zainteresowaniem. Związano to ze zaktualizowaniem sprawy restauracji. Rozumowano, że jeśli kanclerz Schuschnigg i inne austriackie osobistości urzędowe mogły się ostatnio wyrażać o sprawie restauracji pozytywnie, to nie działo się to bez aprobaty Mussoliniego. Można więc wyobrazić sobie jaką sensacją były artykuły najautorytatywniejszego publicysty faszystowskiego Gaydy, ogłoszone 26 lutego i 1 marca w *Giornale d'Italia*, w których rzecznik poglądów włoskiego ministerstwa spraw zagranicznych d e m e n t u j e wszelkie twierdzenia, że Włochy miały kiedykolwiek być inicjatorami akcji, mającej na celu sprowadzenie na tron austriacki arcyksięcia Ottona, oraz przypuszczenia, że Włochy udzielają poparcia legitymistom austriackim. Wszystkie te przypuszczenia Gayda nazwał „insynuacjami" mającymi na celu siame niepokoju w Europie Środkowej.

Nie da się zaprzeczyć, że ani Mussolini, ani też żadna z włoskich osobistości urzędowych, nie zabierał. głosu w sprawie restauracji austriackiej. Niemniej przychylność Mussoliniego dla ewentualnego powrotu Habsburgów była faktem, który się na każdym kroku w y c z u w a ł o. Artykuły Gaydy oznaczają tylko, że Mussolini zmienił nagle front w tej sprawie. Przyczyny tego nagłego zwrotu wydają się być następujące: 1) Plany zbrojeniowe Anglii, 2) Sprawa Hiszpanii, daleka od zakończenia, a w której Francja i Anglia zajmują stanowisko coraz to bardziej stanowcze, 3) Zaproszenie eks-Negusa na uroczystości koronacyjne, wskazujące, że na gruncie nie uznania *de jure* aneksji Abisynii możliwe są jeszcze intrygi, skierowane przeciwko Włochom. — Wszystko to budzi we Włoszech niepokój i stwarza potrzebę zacieśnienia węzłów, łączących Rzym z Berlinem.

Nie może ulegać wątpliwości, że zanim Gayda otrzymał inspirację urzędową do napisania swych artykułów, Hitler musiał dać Mussoliniemu daleko idące zapewnienia co do przyszłości Austrii. Nie wydaje się nam prawdopodobne, aby Mussolini, jak twierdzi prasa francuska, miał „odstąpić" Austrię Niemcom. Sprawy nie wyglądają z pewnością tak tragicznie. Chodzi pewnie tylko o to, że dotychczas „oś" Berlin - Rzym dała realne korzyści tylko Rzymowi. Nie mogąc dotychczas zdyskontować protokułów berlińskich na gruncie międzynarodowym, szczególnie w Londynie, a mając prestiż nadwyrężony przez niepowodzenie wizyty Neuratha i przez zaktualizowanie w Austrii sprawy Habsburgów w sensie bezwzględnie pozytywnym — Hitler zażądał od Mussoliniego dyskonta weksla berlińskiego w postaci położenia kreski pod dotychczasową polityką Schuschnigga.

Takie postawienie sprawy nie odpowiada oczywiście stanowisku Austrii jako państwa niezależnego. Okazuje się, że Austria nie jest podmiotem polityki w ł a s n e j, tylko p r z e d m i o t e m polityki włosko - niemieckiej. Stąd też odpowiedź prasy austriackiej na artykuły Gaydy, a szczególnie odpowiedź półurzędowej *Reichspost*, były niezwykle ostre. Zbyt pobopne są wnioski, że Austria, nie czując się już pewnie na gruncie włoskim, zwróci się znów w kierunku Paryża. Ale nie ulega wątpliwości, że na austriackim froncie polityki międzynarodowej zajdą w najbliższej przyszłości mniej lub więcej doniosłe zmiany.

O NAS U OBCYCH

Polska w polityce pożyczkowej Francji — Niemieckie echa deklaracji płk. Koca

Berliner Tageblatt (nr. 76) poświęcił ostatnio francuskiej polityce pożyczkowej dłuższy elaborat swego speca od spraw gospodarczych — Kastenholza. Omówiona obszernie w powyższym elaboracie prasowym sprawa interesuje nas o tyle, że w rozważaniach dziennika berlińskiego poczesne miejsce zajęła m. in. Polska, która w „kombinacjach" pożyczkowych Francji odgrywa niemałą rolę.

Autor artykułu — wspomniany już wyżej Kastenholz — stwierdza nasamprzód, że fakt udzielenia przez Francję kredytów i pożyczek krajom Europy wschodniej i południowo-wschodniej desygnuje ją w oczach laika na jedno z wielkich centr finansowych, dysponujących nieograniczonymi zasobami pieniądza. Ten sam laik z pewną dozą zdziwienia zaobserwował jednak równocześnie sfinalizowanie wielkich operacji finansowych między Paryżem a Londynem, które w wyniku dały kredyt gotówkowy, dzięki któremu Francja mogła z uzyskanych z tego źródła pieniędzy część oddać dalej we formie pożyczek. Te zabiegi Francji o kredyty w Anglii — stwierdza Kastenholz — szły niesłychanie opornie, doprowadzając pośrednio do niepowodzenia przedsiębranych w tym samym czasie na terenie Holandii i Skandynawii innych podobnych zabiegów o kredyty, nie mówiąc już wcale o pełnym fiasku poczynionych pod koniec 1936 roku tego samego pokroju starań w Stanach Zjednoczonych.

Dokładniej — powiada dalej Kastenholz — wygląda to wszystko tak:

Paryż jest w możności — wśród niemałych trudności i różnych niepowodzeń — uzyskiwać od krajów, zasobnych w kapitały, pożyczki. Równocześnie na wschodzie i południowym wschodzie Europy są kraje, które napotykają na jeszcze większe trudności w zabiegach o pożyczkę, i to przede wszystkim w najważniejszym z centrów finansowych — Londynie. Kraje te, które w ostatnim czasie były przedmiotem rozmów finansiery światowej, nie uzyskały w tych rozmowach, poświęconych głównie sytuacji walutowej owych krajów, dobrej noty. Przyczyna takiego nieprzychylnego nastawienia tkwi nie tyle w polityce gospodarczej danego kraju, ile wogóle we fakcie występowania w ostatnich latach nagłych, niespodziewanych i niezawsze zgodnych z logiką operacji w dziedzinie walutowej. Aczkolwiek tego rodzaju procesy walutowe miały dotąd jedynie miejsce w odniesieniu do państw o silnych i mocnych zasobach finansowych, tym nie mniej jednak koła finansiery światowej zawsze jeszcze dopuszczają możliwość zaistnienia tego rodzaju stanu rzeczy również w każdym innym kraju. Tego rodzaju nastrojów nie należy bagatelizować, gdyż właśnie one składają się w sumie na pojęcie „kredytu", inaczej — „zaufania".

Wyżej przedstawiony stan rzeczy, w którym kraje wschodniej Europy, nie mogące uzyskać w wielkich centrach finansowych pożyczek tak, jak ma to miejsce z Francją, z którą one pozostają w mniej lub więcej zażyłych stosunkach politycznych, otrzymują od niej pożyczki z ciężko zdobytych pieniędzy angielskich, nie oddaje istotnego obrazu sprawy, która nie wygląda tak skomplikowanie, jakby się to mogło komuś wydawać na pierwszy rzut oka. Jeżeli chodzi o pożyczkę francuską w Londynie, to w danym wypadku nie tyle chodzi o pieniądz angielski, ile o fakt, że pożyczka ta mieści się całkowicie w ramach znajdującego się na rynku londyńskim t. zw. koczowniczego (nomadyzującego) pieniądza francuskiego, t. zn. pieniądza, który nigdzie nie może zagrzać miejsca, a co do którego zachodzi stała obawa, że w każdej chwili może się usunąć z powierzchni londyńskiego życia finansowego, narażając je na niespodziewany a zgoła szkodliwy wstrząs. W powyższym wypadku można więc bez przesady powiedzieć, że właściwie Francja pożyczyła od bankierów londyńskich swoje własne pieniądze, choć w innej walucie i na niebardzo wygodnej drodze.

Tak oto zdobyty pieniądz Francja przekazuje swoim przyjaciołom wschodnioeuropejskim pod postacią pożyczek. Ostatnie operacje pożyczkowe Francji na tym odcinku miały miejsce w odniesieniu do Czechosłowacji, której Francja udzieliła pożyczki na spłacenie starej pożyczki z r. 1932 z terminem płatności, przypadającym na kwiecień bieżącego roku. Dla Czechosłowacji nowa pożyczka stanowi poprostu prolongatę starej, dla Francji — nowy weksel w tece dłużników.

Zgoła inaczej — powiada Kastenholz — przedstawia się zato pożyczka francuska dla Polski, której wysokość wynosi 2,6 miliarda franków. Na zdobycie w ramach tego kredytu kwoty 1,35 miliarda franków przewidziane jest wypuszczenie emisji pożyczki na tę kwotę, podczas gdy na resztę, t. zn. na 1,25 miliarda franków, mają się złożyć dostawy. Szanse dla nowej pożyczki na francuskim rynku pieniężnym są niewesołe, jeśli się zważy, że niedawna francuska pożyczka państwowa nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Fakt ten niewątpliwie wpłynął na konieczność interwencji państwa i zaliczkowania Polsce pewnych kwot na poczet. Odnosi się wrażenie — pisze Kastenholz — że Warszawa niezupełnie jest zadowolona z pożyczki, i to z jednej strony ze względu na wysokość mających być wpłaconych kwot, z drugiej — ze względu na tendencję do zrealizowania tej pożyczki pod postacią dostaw wojskowych francuskiego przemysłu zbrojeniowego, który podobno w chwili obecnej nie jest nawet zdolny do pokrycia zapotrzebowania wewnątrz kraju ze względu na brak koksu.

Przykład transakcji pożyczkowej z Polską wskazuje — zdaniem Kastenholza — wyraźnie na to, że najbardziej zasobny w kapitały kraj kontynentu, jakim jest Francja, jest zdolny do realizowania pożyczki jedynie pod postacią dostaw. Przykład Francji nie jest jednak odosobniony: nie lepiej przedstawia się sprawa w innych centrach finansowych. Oto na pięć najpoważniejszych z pośród tych centr, w r. 1936 Francja, Holandia i Szwajcaria nie udzieliły wcale pożyczek, Anglia zaś i Stany Zjednoczone A. P. udzieliły pożyczek zaledwie w wysokości niecałych 8 milionów funtów, co w skali gospodarki światowej jest zerem.

Zakończenie rozważań Kastenholza stanowi niedwuznaczną ofertę pod adresem amerykańskiego rynku finansowego. Przypominając, że finansiści amerykańscy zabrali się ostatnio do szukania środków, mogących przeciwdziałać zagrażającej Stanom Zjednoczonym, na skutek napływu z zewsząd złota, inflacji, Kastenholz pisze dosłownie, co następuje: *„Rozsądniej byłoby tutaj zastanowić się nad obniżeniem cel, albo też udzieleniem wielkiej pożyczki w złocie jakiemukolwiek bądź mającemu zadatki rozwoju krajowi, co przyczyniłoby się do zlikwidowania sprzecznych z rozsądkiem dysproporcji w posiadaniu rezerw złota."*

Kastenholz, rzecz prosta, miał tu na myśli jedynie i tylko — Niemcy.

* * *

Wśród głosów prasy zagranicznej o deklaracji płk. Koca, głosów — dodajmy — uznających à la longue pozytywne jej wartości dla współczesnego życia polskiego, głosy prasy niemieckiej odbijają się pesymizmem i niemaskowanym nawet podrażnieniem.

*

Ten pesymizm i niewiara w powodzenie akcji konsolidacyjnej przebija przede wszystkim z wywodów naczelnego organu partii narodowo - socjalistycznej *Voelkischer Beobachter* (nr. 55 z 24.2):

„Założenie nowego polskiego „obozu koncentracji narodowej" — pisze on — celem ostatecznego skonsolidowania chaotycznej obecnie sytuacji wewnętrznej w Polsce, jest tematem rozmów dnia. Po zbadaniu opinii wszystkich czynników można nowemu obozowi postawić następujące horoskopy na przyszłość:

Jest rzeczą wątpliwą, czy doprowadzi on nowe i niezużyte siły do rządzącej warstwy. Pewne jest jednak, że na jakiś czas, być może nawet na lata, będzie mógł nowy obóz służyć jako fikcja, w której imieniu obecne faktyczne autorytatywne rządy będą w przyszłości zastąpione przez warstwę rządzącą o wyglądzie demokratycznym, bardziej odpowiadającym charakterowi polskiemu.

Kto by oczekiwał od nowej, od miesięcy zapowiadanej, organizacji podporządkowania większości narodu polskiego woli jednego centralnego kierownictwa według wzoru Włoch i Niemiec, tego trzeba by pouczyć, że jest to w Polsce niemożliwe, nie tylko z powodu stosunków narodowościowych, ale również z powodu różnic społecznych i politycznych.

Gdy po dłuższych wahaniach w kierunku demokratycznym czynniki miarodajne powróciły do racji stanu Piłsudskiego „Przede wszystkim obrona kraju"—chodziło tylko o to, aby w ramach aparatu państwowego, zbudowanego na zasadach względnie demokratycznych, nie były zupełnie osamotnione w opinii w stosunku do rozporządzającej większością opozycji. Optyczne możliwości w tym kierunku daje skupienie wokół jednego programu pewnych, zależnych od państwa, organizacji, jak: obóz legionistów, związki strzeleckie, harcerstwo i t. d.

Jak się okazuje, samo przejęcie programu nacjonalistycznego nie wystarczyło, aby pozyskać stojącą na uboczu młodzież narodową, na której pozyskaniu zależy przede wszystkim sferom wojskowym. Liczne konfiskaty tych właśnie organów, od których niektórzy oczekiwali zgody na nowy program, dowodzi tego w sposób dostateczny.

Jeżeli więc na dłuższą metę ostateczna wewnętrzna konsolidacja Polski nie została osiągnięta, nie wolno zapominać, że nowy obóz rządowy może oznaczać mobilizację środków propagandowych na rzecz piłsudczyzny.

Jakkolwiek więc deklaracja płk. Koca, jeżeli się porówna skutek z zamierzonym celem, może stanowić dla wielu rozczarowanie, to jednak oznacza ona wśród obecnego rozbicia w Polsce konsolidację sytuacji w rządzie, którego umocnienie już niebawem odczują zwłaszcza polskie partie lewicowe."

*

Równie pesymistycznie patrzy na przyszłość montowanego przez płk. Koca obozu *„Der Danziger Vorposten"* (nr. 49 z 27.2), który swe rozważania na temat deklaracji zamieszcza pod charakterystycznym tytułem: „Czy Polska dojrzała do narodowej koncentracji?"

Przyjęcie — powiada „Der D. Vorposten" — z jakim się spotkał program ideowo - polityczny nowego obozu, jest niejednolite. Entuzjastycznemu: „Tak" należy przeciwstawić zimne, bezkompromisowe: „Nie". Okaże się dopiero, czy program, który nie zawiera żadnych nowych podejść do spraw, będzie mógł na prawdę stanowić fundament pod nowy, wielki ruch, czy będzie on posiadał dostateczną siłę atrakcyjną u przeciwników politycznych oraz u tych kół, które wyznawały dotąd indyferentyzm polityczny. W chwili obecnej należy uznać program płk. Koca za posunięcie, które nie da wielkich rezultatów. Wiele będzie poza tym zależało od tego, jaką strukturę będzie miał nowy obóz i kto jeszcze — poza płk. Kocem — wejdzie do jego władz kierowniczych. Jak dotąd — zgłosiło już do obozu akces wiele związków, organizacji i stowarzyszeń. Rzut oka na nie wystarczy jednak, by stwierdzić, że chodzi tu przede wszystkim o koła, które kiedyś wchodziły w skład dawnego obozu rządowego. Jako rzecz, godną uwagi, warto podkreślić opinię biura płk. Koca, że samo zgłoszenie akcesu nie oznacza wcale przyjęcia do obozu. Napięcie więc w narodzie polskim trwa w dalszym ciągu. Również i mniejszości narodowe — kończy „Der Danziger Vorposten" — czekają. Oczekiwania ich są jednak pełne obaw o przyszłość rozwoju ich właściwości narodowych.

PRZEGLĄD PRASY

Jeszcze o deklaracji płk. Koca

Zapoczątkowany w n-rze poprzednim rejestr głosów prasy codziennej o deklaracji płk. Koca uzupełniamy w numerze dzisiejszym jeszcze kilku dalszymi głosami:

*

Lwowski WIEK NOWY (nr. 10.728 z 26.2) widzi w deklaracji „program lepszej Polski".

„Deklaracja — pisze on — jest właściwą podstawą dla wielkiej koncentracji Narodu. I to właśnie przez swój umiar, będący w istocie szukaniem drogi środka, przez głoszenie prawd bezspornych i oczywistych, przez unikanie poglądów, dopiero walczących o uznanie, przez zasadniczą tendencję ustalenia tylko tych spraw, które już są własnością większości społeczeństwa i weszły w skład publicznej opinii. Ta „oczywistość" deklaracji stała się nawet powodem zastrzeżeń; zapomniano jednak, że co innego jest spisać rzeczy znane, a co innego wysunąć je jako program obozu. Zapomniano, ze właśnie „rzeczy oczywiste" są w Polsce dalekie od realizacji i że tytuł do historycznej zasługi zdobywa ten polityk, który urzeczywistnia choć jeden z popularnych postulatów".

I dalej:

„Drzwi są otwarte dla wszystkich i przyszły obóz będzie takim, jaką będzie jego większość, im więcej wejdzie obywateli niezależnych przekonań, jeszcze wyposażonych w odwagę cywilną, jeszcze gotowych do pracy dla samej Sprawy, tym pewniejsza gwarancja, że nowy obóz będzie zdolny do urzeczywistnienia swego programu, programu lepszej i potężniejszej Polski".

ŚLĄSKI KURIER PORANNY (nr. 56 z 25.2) wyraża przekonanie, że ostatecznym sprawdzianem wartości ogłoszonych zasad płk. Koca pozostanie ich praktyczne zastosowanie i że ludziom, stojącym na czele Obozu Zjednoczenia Narodowego, na dobrej woli, potrzebnej do realizacji wysuniętych haseł, nie zbywa.

„Drogi w Polsce wyrównywują się. Nareszcie poczynamy do siebie gadać językiem właściwym, jedynie wskazanym i koniecznym w chwili, kiedy przyszłość zdaje się być brzemienną w historyczne wypadki. W porównaniu z tym, co było dotychczas, oznacza to ogromny postęp i daj Boże tylko, aby w Polsce znikła wieża Babel i wszyscy uprzytomnili sobie należycie, że przecież chodzi o wspólny nasz dom, w którym, chcąc nie chcąc, musimy mieszkać i z którego ucieczki żadnej nie ma. Ten dom należycie urządzić, aby było wszystkim dobrze i bezpiecznie, to rzecz najważniejsza dla wszystkich Polaków".

ZACZYN (nr. 8 z 25.2), przypomniawszy na wstępie swoich rozważań, że nie może być mowy o jakimś odbiegnięciu w jego działalności dotychczasowej od linii wytycznych płk. Koca, sprecyzowanych w deklaracji, zastanawia się nad sprawą realizatorów jego programu:

„Gruntowanie potęgi Rzeczypospolitej — to nie ta czy inna doktryna i nie czerwona lub czarna demagogia, ale skuteczna realizacja jasnych, bezkompromisowych celów, związanych z obroną państwa, która, pojęta współcześnie, jest zagadnieniem złożonym i trudnym.

Dla tego sprawa realizatorów, odpowiedzi na pytanie: kto? nie jest błahą, jest bodaj decydującą.

Czas stawiać na zdolności, na twórczość, czas najwyższy odwagę cywilną uznać za cnotę obywatelską, a karierowiczostwo, cudzej pracy nigdy nie szanujące, plenić a plenić..."

*

JUTRO (nr. 9 z 28.2) widzi w deklaracji płk. Koca chwilę dla Polski przełomowe.

„Ważkie słowa już padły. Przycichną już trochę spory na temat nacjonalizmu, narodu i spraw narodowościowych, zaczyna się okres realizacji formułowań wyraźnych i jasnych.

Wyzwoliły się i ujawniły zarówno jasne, jak i ciemne siły. Okres minionych 2 lat był bardzo interesującą próbą charakterów i wartości ludzkich. Próba ta rozgrywała się na tle wielkich miłości, zdrad, mezaliansów, burz w szklance wody i cichych pchnięć sztyletów w plecy. Ale już przeszło — idziemy dalej".

*

DEPESZA (nr. 15 z 25.2) ustosunkowała się do deklaracji pozytywnie. W rozważaniach nad deklaracją główny nacisk kładzie ona na sprawę realizacji wytycznych deklaracji i ostrzega równocześnie zainteresowane czynniki przed powtarzaniem błędów dawniejszego BB, polegających m. in. na przyjmowaniu do obozu wszystkich, co się doń zgłaszali.

„Jeżeli robota konsolidacji sił twórczych Narodu ma być naprawdę dokonana, to musi się odbyć rzeczowa selekcja kompetencji, talentów, fachowości, mózgów, odpowiedzialności moralnej bez żadnych dotychczas praktykowanych laurek, wydawanych przez czynniki, nie mające nic wspólnego z zadaniami, jakim ma służyć organizacja, powołana pod hasłem zgody obywatelskiej...

Najistotniejsza konsolidacja społeczeństwa, mająca na celu wydobycie z obywatela maximum jego energii twórczej, może się odbyć tylko na terenie wolności jego działania, w organizacjach samorządowych".

*

BUNT MŁODYCH (nr. 5 z 25.2) przestrzega przed ewentualnością zboczenia dróg obozu na lewo.

„Teoretycznie najpraktyczniejszą koncepcją byłaby konsolidacja całego narodu. Jest to jednak możliwe tylko w jednym wypadku: w obliczu wojny. W innych okolicznościach konsolidacja może nastąpić albo na prawo, albo na lewo. W obie strony jednocześnie nie pójdzie. W Polsce nie będzie przewrotu: opozycja jest na to za słaba. Nastąpi tylko ześlizgnięcie władzy: albo na prawo, albo na lewo".

W jakich warunkach ewentualne przesunięcie na lewo mogłoby stać się faktem? Według „Buntu Młodych" wygląda to tak:

„Deklaracja płk. Koca jest inwitem dla prawicy. Jeśli prawica odpowie na to „passywizmem" — a od czasów wojny jest to może jej nazbyt ulubiona metoda — a natomiast lewica (np. naprawiacze, Legion Młodych), włożywszy chwilowo maskę nacjonalistyczną, wejdzie do obozu koncentracji narodowej w bardzo pokaźnych ilościach, to może łatwo się zdarzyć, że prawicowy obóz płk. Koca po 6 miesiącach okaże się złożony z samych radykałów. Wówczas będzie łatwo zmontować jakiś kongres, czy radę naczelną, która Koca zdetronizuje, przemaluje cały interes na czerwono i pełną parą zawróci na lewo w objęcia totalistów lewicowych. To jedno bardzo poważne niebezpieczeństwo. I wcale nie znowu takie niemożliwe, jak by się wydawało".

*

Stanowisko PIASTOWCÓW zostało sprecyzowane w uchwale Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa Ludowego, powziętej w dniu 26 lutego (cytujemy za ROBOTNIKIEM — nr. 63 z 28.2):

„Stronnictwo Ludowe, stojąc na gruncie swego programu, który uwzględnia tak interesy państwa, jak i ściśle z nimi związane interesy mas ludowych, przestrzegać będzie nadal swej niezależności organizacyjnej i samodzielności politycznej.

Jedynym możliwym sposobem pozyskania chłopów do współdziałania byłoby uwzględnienie ich żądań politycznych i społecznych, jasno sformułowanych w deklaracji nowo-sieleckiej.

Ponieważ deklaracja płk. Koca pomija nie tylko te żądania, ale wszystkie istotne prawa i interesy ludu, Stronnictwo Ludowe przeciwstawić się musi akcji, wszczętej przez p. płk. Koca, i tworzonej przez niego partii politycznej.

N. K. W. wzywa chłopów do silniejszego jeszcze zwarcia szeregów i wzmożenia wysiłków organizacyjnych i przygotowania się do wykonania uchwał, które zapadły na ostatnim kongresie Stronnictwa Ludowego".

Naczelny organ Stronnictwa Ludowego ZIELONY SZTANDAR (nr. 12 z 28.2) — ustosunkowuje się do deklaracji również negatywnie, pisząc co następuje:

„Dziś, po dziesięciu latach „jednoczenia" społeczeństwa przez sanację, woła się i krzyczy o to zjednoczenie, dając najwymowniejsze świadectwo temu, że przeciwieństwa w łonie społeczeństwa nie tylko się nie zabliźniły, ale się pogłębiły. Doświadczenia ubiegłych dziesięciu lat winny więc być przestrogą i nauką.

Stanowisko *kół wyzwoleniowych* — pozytywne — określone zostało przez WYZWOLENIE (nr. 9 z 28.2) notatką tej treści:

„Wskazania Marszałka Śmigłego-Rydza o podciągnięcie Polski wzwyż pod względem kulturalnym i gospodarczym realizować będziemy z wiarą w wielką przyszłość Ojczyzny. Stanowisko tedy nasze jest jasne, Pułkownik Adam Koc, działający w myśl wskazań Marszałka Śmigłego - Rydza, może być pewny współpracy Wyzwolenia".

Według MYŚLI NARODOWEJ (nr. 9 z 28.2):

„deklaracja p. Koca obraca się w sferze „zapatrywań"; życie zaś oczekuje od inicjatorów nie zapatrywań, które można ładnie ułożyć według podręczników, lecz idei. Idea jedynie ma siłę motoryczną, jako wyraz wiary i dobrej woli.

Pułkownik Koc mówił nie tylko od siebie, używał zaimka: „My". Znamy tę zbiorowość. Pozostaje ona po dawnemu na swym uprzywilejowanym stanowisku, zamierza ona teraz kooptować ludzi do swych dążeń dawnych na podstawie nowych „zapatrywań". Byli przecież w tej grupie ludzie, którym one nigdy nie były obce, a przecież postępowali inaczej. Przed wiekami już zdawano sobie sprawę z psychologii ludzkiej: „Video meliora proboque — deteriora sequor".

I dalej jeszcze:

„Z deklaracji nie widać, jak twórcy rządowego obozu przedstawiają sobie współpracę z narodem. Mylny bowiem byłby pogląd, że ta współpraca z narodem może być zamknięta w ramach obozu. Obóz tylko będzie jednym ze stronnictw. Emulacja o wpływ moralny na naród pozostanie po dawnemu otwarta. Tajemnicę tego wpływu posiadają dawne stronnictwa, które z narodem na zasadach współpracy ideowej oddawna obcowały...

Młodo-endeckie PROSTO Z MOSTU (nr. 11 z 28.2) widzi w programie płk. Koca jedynie „dyscyplinę bez ideałów".

„Konsolidacja narodu — pisze cytowany tygodnik — piękne hasło. Ale ma jakąkolwiek treść tylko wówczas, gdy jest to konsolidacja narodu wokół idei, wokół idei wielkiej, porywającej, zdobywczej, a nie wokół ostrożnie odmierzanych słówek programu zachowania dzisiejszego stanu rzeczy, obrony, obrony i jeszcze raz obrony.

Dyscyplina bez ideałów — nie, to hasło z pewnością nie przemówi do młodego pokolenia. To hasło brzmi obco. Bo jest całkowitym przeciwieństwem hasła, które głosi cała nasza generacja: dyscyplina wobec ideałów...

Karność i dyscyplina ludzi, mających dogmaty i walczących o ideały, jest twórcza. Karność dla karności; dyscyplina dla dyscypliny — owszem, może się nawet przez odpowiednio stosowaną tresurę z tymi i owymi udać, ale stworzyć niczego nie jest w stanie.

Niczego, co by przetrwało rozkaz".

Organ „Frontu Morges", ODNOWA (nr. 12 z 28.2), kreśli takie uwagi w swoich rozważaniach nad deklaracją płk. Koca:

„Programy potężne, jak np. deklaracja praw człowieka i obywatela we Francji, są emanacją potęgi. Rozlewają się przez wszystkie kraje i trwają przez długie czasy. Tam, gdzie potęgi nie ma, a jest jedynie wysiłek do uporządkowania stosunków wśród samych organizatorów, tam nie należy wymagać i oczekiwać objawień politycznych. A wtedy nie tylko to jest ważne, jakie ziarno rzucono w posiewie społecznym, ale i to, jaka gleba go przyjmuje, jaka hodowla i opieka otoczy wschodzące kiełki".

Stosunek do treści samej deklaracji i prognozę powodzenia dla osób działających „Odnowa" ujęła w następujące twierdzenia:

„Nie takie słowa doradzalibyśmy przy zwracaniu się do całego narodu i nie takich mężów stanu wskazywalibyśmy do realizacji tych zamierzeń. Ale to jest wiadome. To

jest rola opozycji. Żeby jednak opozycja nie była gołosłowna, lecz rzeczowo uzasadniła swoje stanowisko, wskażemy na przyczynę główną, którą już wskazano w publikacjach całej prasy niezależnej: ogólniki nie porywają ogółu".

KATOLICKA AGENCJA PRASOWA określiła swe stanowisko wobec deklaracji płk. Koca wydaniem specjalnego komunikatu, w którym pisze m. in. co następuje:

„Jeżeli kościół katolicki od kolebki Państwa Polskiego nierozerwalnie związany jest z Narodem Polskim, jak to słusznie zgodnie z historią podkreślił pułkownik Koc, i był źródłem, które zraszało glebę duszy polskiej w ciągu wieków, wychowując naród i przekazując pokoleniom najlepsze tradycje — to rolę swą Kościół mógł chlubnie spełniać dzięki swemu nadprzyrodzonemu posłannictwu, był bowiem według słów Apostoła narodów „wszystkim dla wszystkich". Ta ponad i poza partyjna pozycja Kościoła i ogółu duchowieństwa, zwłaszcza w okresie wielkich zdarzeń i doświadczeń, była owocodajna dla naszego kraju.

Pomne swej szczytnej misji duchowieństwo polskie na czele z Episkopatem w odrodzonej Ojczyźnie nie szczędził i nie będzie szczędzić poparcia dla wszelkich wysiłków, zmierzających do prawdziwej konsolidacji, zgody i pokoju w Polsce. W szczególny zaś sposób duchowieństwo nasze przyczyniać się będzie, aby, stosownie do nakazu chwili, wzrastał duch i siła obronna naszego Państwa. Pozostając nadal ponad partiami i walkami stronnictw — duchowieństwo katolickie w dziedzinie pracy obywatelskiej i patriotycznej będzie miało zawsze na względzie dobro całości Rzeczypospolitej".

Krakowski GŁOS NARODU podkreślił, że stanowisko płk. Koca wobec katolicyzmu, tak, jak ono jest sprecyzowane w deklaracji, nie jest dla katolików wystarczające.

„Prawdziwie katolickie stanowisko polega na tym, by w kościele widzieć nie tylko organizację, której poparcie może być cenne lub wynika z jakichś kalkulacji, ale instytucję, przeznaczoną do realizacji zasad chrześcijańskiego Objawienia, tak w jednostkowym, jak społecznym życiu. Jest to więc stanowisko nie realistyczne, ale dynamiczne. Opiera się na założeniu, że Polska winna być katolicką nie tylko dlatego, że jest historycznie złączona z Kościołem, i nie tylko dlatego, że do niego należy olbrzymia większość narodu, ale dlatego, że zasady Kościoła zawierają Prawdę, a więc i najbardziej autentyczny ideał państwa... Z tego widać, że sformułowanie podane przez p. Koca nie wyczerpuje wszystkich postulatów katolickich".

„Głos Narodu" powiada dalej, że niezbyt szczęśliwie jest także sformułowany sam wniosek: „Kościół winien być otoczony należytą opieką".

„O opiece mówi się w stosunku do małoletnich. Między dojrzałymi może być mowa tylko o współpracy".

Pismo krakowskie konkluduje:

„Wolelibyśmy, by w deklaracji p. Koca była mowa raczej o „współpracy" państwa z Kościołem, niż o „opiece" państwa nad Kościołem".

Żółte niebezpieczeństwo—czerwone niebezpieczeństwo

Coraz głośniejsze alarmy niemieckie na temat niebezpieczeństwa bolszewickiego dla Europy dają KURIEROWI WARSZAWSKIEMU (nr. 58 z 27.2) asumpt do zwrócenia uwagi na pewne charakterystyczne objawy, jakie towarzyszyły podobnemu stanowi rzeczy w latach przedwojennych, kiedy to cesarz Wilhelm II sugerował Europie fikcję t. zw. „żółtego" niebezpieczeństwa, by nagle i niespodziewanie wystąpić w roli pretendenta do władztwa nad nią.

Dzisiejsze niemieckie alarmy o „czerwonym — dla odmiany! — niebezpieczeństwie" posiadają — zdaniem pisma — niewątpliwie także rację charakter gry politycznej.

„Pewnie, istnieje dzisiaj to czerwone niebezpieczeństwo, natarczywe, wnikliwe, dalekosiężne. Państwa Europy zmagają się z nim wytrwale, każde u siebie, od dwu dziesiątków lat. Nikt nie powie, że mniejsze, niż Niemcy, poczucie tego niebezpieczeństwa ma np. sąsiadująca bezpośrednio z jego siedzibą Polska, lub np. Anglia, dalsza w Europie, ale stykająca się z nim bezpośrednio i na wielkich przestrzeniach rubieży swego imperium światowego... Te państwa Europy, przeciwne przewrotowi czerwonemu i przewrotowi wogóle, uczyniły u siebie z tej obrony zadanie dnia powszedniego".

Jeśli komu, to jedynie Niemcom trzeba by przede wszystkim postawić bardzo poważny zarzut robienia ułatwień bolszewizmowi.

„Niemcy powojenne, od Brześcia do Rapallo, po prostu zaprosały bolszewizm do środka Europy, zacierając ręce z zadowoleniem w czasie pochodu wojsk czerwonych na Warszawę, a w Locarno jeszcze nie tając, że podając prawicę Zachodowi, pozostawiają lewicę w uścisku dłoni z Sowietami. Trzecia Rzesza zaś temu jednak wyznisku, które jest najgroźniejsze w bolszewiźmie, t. j. bezbożnictwu, raczej dopomaga nawrotem ku pogaństwu..."

A do tego dochodzi jeszcze jawne wiązanie hasła walki z bolszewizmem z planami marszu na zdobycie wschodu Europy.

„Owszem — konkluduje „Kurjer Warszawski" — dbajmy rzetelnie o losy Europy, ale... szczerze i rzetelnie".

Ludowcy przeciwko nauczycielom

Niecodzienne stanowisko wobec zapowiedzianego przez ministra Wyznań Rel. i Oświecenia Publicznego zwiększenia etatów nauczycielskich zajął PIAST (nr. 8 z 21.2), co jest tym symptomatyczniejsze, że przecież zwiększenie etatów jest pomyślane jako remedium przeciwko brakom oświatowym, na jakie nie od dziś cierpi przede wszystkim wieś polska.

„Piast" widzi w nowych nauczycielach... agitatorów i szachrajów politycznych.

„Wieś potrzebuje szkół i oświaty. Oświata zaś do niej przychodzi w postaci nauczyciela, który chłopa traktuje jak chama, zdolnego tylko do nasycenia swoich zwierzęcych potrzeb. Zwiększenie etatów nauczycielskich o każdy tysiąc, to zwiększenie na wsi liczby wrogów ruchu ludowego, ujarzmiaczy dążności chłopa do praw i wolności, oszustów wyborczych, szachrajów politycznych, narzędzi administracji i wywiadu w opanowaniu samodzielnego ruchu ludowego.

Stanowisko piastowców jest w tej przecież dla wsi arcy-kapitalnej sprawie — powiedzmy ostrożnie — conajmniej oryginalne.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Jolan Földes: „Ulica Kota Rybołówcy" (tłum. R. Sillei). Warszawa 1937. Wyd. Książnicy-Atlas.

Węgierska rodzina Barabaszów — ojciec, matka, dwie córki: starsza Anka i młodsza Klarcia, oraz syn: Janek — emigruje dobrowolnie z kraju, w poszukiwaniu lżejszych warunków bytu, do Francji. Osiedla się w Paryżu, przy ulicy Kota Rybołówcy (du Chat qui Peche), goszczącej wygnańców, przeważnie politycznych, najrozmaitszych nacji. Losy tamtych ludzi i tej gromadki Węgrów splatają się z sobą nierozdzielnie. W perspektywie lat kilkunastu obserwujemy, jak dorasta Barabaszowa dziecіarnia, jak rozwija się, krzepnie, nabiera rozumu, wiedzy, powagi życiowej, jak kocha, jak poszukuje pracy i wreszcie opuszcza najbliższych, by założyć własne domowe ognisko. Oto jest Anka — zadumana, jasnowłosa dziewczyna, spokojna, cierpliwa, pracowita, wyrozumiała i przebaczająca. Oto jest Klarcia — najenergiczniejsza osóbka z pośród całego rodzeństwa, tyranizująca wszystkich dookoła, nie przywiązująca się do nikogo, nieustępliwa, czupurna i zaczepna; Janek— małomówny, skryty, pilny uczeń francuskiej szkoły. A poza nimi któż jeszcze? — Rosjanin Bardichinow, Litwin Liwas, Grek Papadakis, Hiszpan Alvarez i inni. Tułacze, każdy wygnany z ojczyzny, czasem przez głód, najczęściej przez politycznych wrogów. Mimo różnicy zdań i poglądów, mimo nieustannych teoretycznych sporów natury ideologicznej, stanowią razem zamknięty, odrębny świat, grono obojętne na sprawy państwa i miasta, w którym chwilowo lub może już na stałe, do śmierci, muszą przebywać. Równie obcy i dla społeczeństwa francuskiego, zerkającego ku tym intruzom z zagranicy, mało pożądanym przybyszom, nieufnym, podejrzliwym wzrokiem. „Życie ich jest jak płak ze złamanym skrzydłem, jest tylko imitacją tego, do czego zostali stworzeni. I rok rocznie na ich oczach wali się w gruzy konstytucja tego czy innego państwa, grzebiąc pod sobą kilka lub nawet kilkaset tysięcy ludzi. Grzebie — skazując na życie w letargu, na kształt życia, jakie jest tylko cieniem istnienia... „Jedynie robota, ciężka praca, zapewniając im jako taką wegetację, chroni przed szaleństwem. Są chwile kiedy kryją się po kątach, zaryglowani w swoich izdebkach, albo wałęsają się samotnie po nadsekwańskich bulwarach, albo włóczą po kawiarnianych skupiskach współziomków. Potem ten nastrój kapryśny mija, życie powraca napozór do dawnego łożyska. Na powrót schodzą się wspólnie, debatują, dyskutują, kłócą. Ale... „nostalgia nie wygasa. Przycicha, uspokaja się nieco, schodzi w głębsze warstwy duszy i tam z głuchym łoskotem wali o brzegi, jak podziemny nurt"... Ci ludzie, rozsypani po obcych ziemiach, dla swego, własnego kraju są właściwie straceni. Ojczyzna Barabaszów, po dwóch dziesiątkach lat, to już nie Węgry, gdzie czują się źle i nieswojo. Ani też jeszcze nie Francja, która wykształciła w nich wysokie poczucie godności osobistej, urobiła w duchu społecznego demokratyzmu. Przed nimi otworem Europa i cały świat. Nigdzie jednak nie jest im dobrze, wszędzie obco i smutno. I wszędzie ostatecznie pozostają sami, w małym kole pięciu osób.

Nie napotykamy w książce Jolan Földes na charaktery zdecydowanie twórcze, mocne, lub zupełnie anarchiczne i słabe. Postacie kobiece wychodzą lepiej, wyraziściej niż męskie. Rozdziały pomyślano jako pewne fazy zamknięte lat i wypadków.

Warto nadmienić, iż autorka za „Ulicę Kota Rybołówcy" otrzymała pierwszą nagrodę (4 tys. funtów szterlingów) na międzynarodowym konkursie powieściowym w Londynie. Tłumaczenie z węgierskiego R. Sillei bardzo staranne, bez uchybień stylistycznych i językowych. Estetyczna okładka M. Sopocki.

Witold Kosiński.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korewa

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem